

Dzentelmeni z południa

Blake Jennifer



calibre 0.9.43

Blake Jennifer

Dżentelmeni z Południa

John

Przełożyła Ewa Merel

ROZDZIAŁ 1

– To ciebie chcę.

Niespodziewana deklaracja odbiła się echem od splekanych ścian starego salonu. John Peterson, zwany Ripem, wiedział, że może ona wydać się szokująca, ale ponieważ była to szczerza prawda, nie zamierzał jej ukrywać.

Kobieta stojąca naprzeciwko zbladła, lecz nie uciekła ani nawet nie spuściła wzroku. Rip musiał przyznać, że wspaniale panuje nad sobą, mimo że nie cierpiał tego jej opanowania. Nie udało mu się przestraszyć Anny Montrose, chociaż chciał, a nawet powinien ją przestraszyć – w przeciwnym razie równie dobrze mógłby od razu spakować manatki.

Odwrotu przecież nie przewidywał. Gdyby w ogóle brał pod uwagę możliwość porażki, nie byłoby go tutaj – wcale nie przyjechałby do Blest. Cóż robiłby w tej zabytkowej willi na starej plantacji, gdyby nie liczył na to, że konfrontacja z Anną pozwoli mu osiągnąć pożądany cel? Nie chodziło mu przecież o to, żeby tylko zwierzyć się jej ze swoich najgłębszych pragnień i marzeń.

– Spodziewasz się, że ja... że prześpię się z tobą? – zapytała z niedowierzaniem. Gdy czekała na odpowiedź, jej szare oczy zrobiły się ciemne jak chmura gradowa.

Ciekawe, co by zrobiła, gdyby odpowiedział twierdząco? Umierał z chęci, by tak właśnie zrobić. Czy uległaby, gdyby wyciągnął teraz rękę? A może by go spoliczkowała?

W głębi duszy dobrze wiedział, że jest za wcześnie na potwierdzenie. Zbyt wiele by ryzykował, wdając się w takie gierki. Przynajmniej na razie.

– Wyraziłaś się interesująco, choć wysoce nieprecyzyjnie – zaśmiał się gardłowo, wsadzając ręce do kieszeni. – „Spanie” to ostatnia rzecz, na jaką bym liczył. Gdybym naturalnie w ogóle brał pod uwagę tego rodzaju rozliczenie. Nie – westchnął – ja po prostu spodziewam się, że pomożesz mi osiągnąć coś, co zarówno ty, jak i twoja rodzina mieliście od zawsze. Chcę być szanowanym obywatelem Montrose.

Przez chwilę patrzyła na niego szklanym wzrokiem. Mógł się tylko domyślać, że oto nakazała sobie spokój i zmianę tonu rozmowy. Jej blade zwykle policzki niespodziewanie nabrały intensywnie różowego koloru. Oblizła wargi – Rip prześledził ten ruch z najwyższą, prawie bolesną uwagą – i odezwała się zduszonym głosem:

– Mam wrażenie, że nie rozumiem.

Oczywiście. Przecież nigdy go nie rozumiała, nawet jako dziecko. Gdy na Boże Narodzenie przebierano ją za aniołka i biegała radośnie, trzepocząc przyklejonymi skrzydłami – na głowę niczego nie wkładała, wystarczały jej złociste loki – on, obdartus z domu po drugiej stronie rzeki, patrzył na nią z nabożnym podziwem, jakby rzeczywiście była nadprzyrodzonym zjawiskiem. Gdy mieli po naście lat, ona zadawała szyku w najnowszym modelu cadillaca z opuszczanym dachem, jak przystało na córeczkę najbogatszej rodziny w okolicy, on natomiast tłukł się po wertepach pickupem, który wygrzebał na złomowisku i naprawił własnymi, unurzany w smarze rękoma.

Przyjaźnił się z jej bratem, Tomem, ale cały czas miał nadzieję, że ta przyjaźń zbliży go do niej. Oni tymczasem zapraszali go na kolację lub obiad i jakoś nie domyślali się, dlaczego stale odmawia pod pretekstem, że nie jest głodny. Prawda była taka, że mieli nieskazitelne maniery, on zaś nie wiedział, jak zachować się przy stole.

To było kiedyś... Tym razem Anna też nie będzie na tyle domyślna, by zrozumieć, że ta rozmowa odbywa się według ściśle zaplanowanego scenariusza. Nie domyśli się, że

specjalnie czekał, aż ona dowie się od ludzi o jego powrocie, zobaczy jego spychacze i koparki w okolicy Blest i sama przyjdzie do niego. Nie uwierzyłaby, że właśnie tak wyobraził sobie to spotkanie – w salonie, o zmierzchu, kiedy słabe światło wpadające przez wysokie okna będzie rozjaśniało jej twarz. On, zgodnie z planem, stanął tyłem do okien.

Zauważył, że w ogóle się nie zmieniła. Z jej klasycznych rysów biła ta sama szlachetność co kiedyś, ciągle miała szeroko rozstawione oczy i połyskliwe włosy, którymi wszyscy zawsze się zachwycali. Chodząca doskonałość... Tak jak dawniej czuł się przy niej onieśmielony i niepewny. Chował swe uczucia, udając twardziela.

On sam zmienił się jednak bardzo. Więzienie go zmieniło.

– To proste – wyjaśnił szorstko. – Chcę odzyskać to, co zabrano mi w tym mieście szesnaście lat temu. Mam zamiar żyć swoim starym życiem, tylko lepiej. A planuję je kontynuować dokładnie od miejsca, w którym zostało przerwane.

– I umyśliłeś sobie, że mogę ci w tym pomóc?

– Wiem, że możesz – powiedział spokojnie, patrząc jej prosto w oczy.

– A jeżeli nie mogę albo nie chcę, wtedy zrównasz Blest z ziemią, zgadza się?

Nabrała głęboko powietrza, jakby się dusiła, a to sprawiło, że jej piersi uniosły się do góry pod zakiecikiem z kremowego jedwabiu, doskonałym na letni upał. Najwyraźniej zauważyła, że zatrzymał wzrok w tym miejscu, bo skrzyżowała dłonie, jakby chciała się przed nim zasłonić.

– Chcesz to zrobić, tak? – powtórzyła pytanie. – Chcesz rozwalić jeden z najstarszych i najpiękniejszych budynków w Luizjanie, żeby wybudować na jego miejscu dom opieki dla bogatych staruszków i teren do gry w golfa?

– Tak o mnie mówią? – ironiczny uśmiezek zaigrał na jego ustach.

– Zaprzeczasz temu?

– Och nie, w żadnym wypadku – wycedził. – Wiesz, że Montrose to nie jest miasto, w którym powinienem czemukolwiek zaprzeczać. Próbowałem kiedyś co prawda, ale nic mi to nie dało.

Zawahała się, jakby zastanowiło ją coś w jego twarzy albo głosie. Gdy zaś się odezwała, rzuciła tylko jedno, beznamiętnie brzmiące zdanie:

– Dlaczego to robisz?

– Jestem biznesmenem, mam w tym swój interes – powiedział i spojrział na nią wyzywająco.

– Nie sądzę. Moim zdaniem chcesz się zemścić.

– Naprawdę? – zapytał. Przynajmniej zastanowiła się nad tym, a to znaczyło, że poświęciła mu trochę uwagi.

– Odgrywasz się na tutejszych ludziach za to, że ośmielili się wysłać cię do więzienia. A także na mojej rodzinie za to, że świadczyła przeciwko tobie.

– Co w takim razie z tobą? Czy uważasz, że mam coś przeciwko tobie?

Poruszyła nieznacznie głową – ledwie widoczny ruch zdradzający rezygnację i przygnębienie. Smuga światła, które wpadało przez niemytą od dawna szybę, zaigrała na jej włosach złocistych jak miód.

– Nigdy nic ci nie zrobiłam.

Rip poczuł nagłą chęć, by podejść i nią potrząsnąć. Albo nie – raczej przeciągnąć ręką po jej jedwabście gładkiej skórze, dotknąć ciała schowanego pod dobrze skrojonym kostiumem. W tej samej chwili naszło go przykre, znane z przeszłości wrażenie, że jego dotyk mógłby ją skalać, pobrudzić.

Kiedy tak na nią patrzył, przyszło mu do głowy, że jednak wygląda trochę inaczej niż na portrecie, który sobie tyle razy odtwarzał w pamięci. W rzeczywistości była wyższa, a jej

twarz straciła już młodzieńczą pucołowatość – zdawało się, że skóra przylega teraz ściślej niż kiedyś do symetrycznych, delikatnych, a zarazem wyrazistych kości policzkowych.

Spojrzenie miała bardziej tajemnicze niż dawniej, co w przedziwny sposób czyniło ją bardziej bezbronną. Sam jej widok wystarczał, by coś ścisnęło go w gardle.

– Może właśnie chodzi o to, czego nie zrobiłaś – powiedział w końcu tonem podszytym kpina, skierowaną zresztą głównie pod własnym adresem.

Zacisnęła usta i odwróciła wzrok. Poprzez tę aluzję chciał jej przypomnieć tamto upalne, szalone popołudnie, kiedy mało brakowało, a zostaliby kochankami.

Jeśli chodzi o niego, pamiętał wszystko bardzo dokładnie. Jej szczupłe, delikatne ciało przyciśnięte jego ciężarem, przygrzewające słońce i trawę, która wściekle go kłuła, gdy obejmował Annę. Pamiętał odurzający zapach jej skóry i włosów, a także bicie serca, tak mocne, że aż czuł je na swojej piersi. Była urocza, pełna wdzięku i taka niewinna...

On za to zachowywał się niezdarnie, nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście. Bał się, że może sprawić jej ból, a jeszcze bardziej bał się tego, że wszystko zaraz minie – bo nie może trwać.

Miał rację.

– Nie uważam, żeby to miało jakikolwiek związek ze mną – odezwała się w końcu. –

Uważam za to, że wróciłeś tutaj z portfelem wypchanym pieniędzmi, bo chcesz pokazać, że na przekór wszystkim i wszystkiemu odniosłeś sukces. Długo się zastanawiałeś, jak się zemścić na mojej rodzinie, i uznałeś wreszcie, że najlepiej będzie po prostu zniszczyć Blest.

– No bo tak byłoby najlepiej, chyba nie zaprzeczysz? – powiedział spokojnie, obserwując wzburzenie malujące się na jej twarzy.

– Naturalnie! Ty doskonale wiesz, jak nas ugodzić, bo wiesz, czym jest i zawsze było Blest. Tysiące razy słuchałeś mojego ojca wspominającego ze wzruszeniem czas, gdy to

miejsce należało do naszej rodziny. Byłeś przy tym, jak razem z Tomem planowaliśmy odkupić i wyremontować ten dom, żeby wszystko było jak przed Wielkim Kryzysem, kiedy dziadek go stracił.

Miała rację. Nie miał wtedy własnych marzeń, więc uznał za swoje marzenia Anny i Toma. Nauczył się kochać tę starą willę, jej przestronne pokoje, wysoką kolumnadę od frontu, a także wielkie, trochę ponure freski na ścianach.

I oto teraz wszystko to należy do niego i może robić, co mu się podoba.

– Wiem, jak traktujesz Blest – powiedział po chwili – i jak Tom traktował to miejsce.

– Ty i Tom byliście... – zaczęła, ale się zawahała i nie skończyła zdania.

– Przyjaciółmi – dopowiedział za nią.

– On nigdy nie wrócił... – Spojrzała mu prosto w oczy.

– Wiem.

– Kto ci powiedział?

– Zrobiłem swój zawód z tego, żeby być dobrze poinformowanym.

– Mama zawsze myślała, że coś wiesz i że orientujesz się, gdzie on mógł się podziać.

– Niesłusznie. Tom nigdy się ze mną nie skontaktował. Nie odezwała się, tylko znowu skierowała gdzieś w drugą stronę spojrzenie swoich ciemnoszarych oczu.

– Na pewno ani Tom, ani tamte sprawy nie mają nic wspólnego z tym, czego chcę teraz od ciebie – powiedział, żeby zmienić temat i jednocześnie wrócić do właściwego przedmiotu rozmowy. Nie miał ochoty patrzeć na jej ból, nawet jeżeli to on go wywołał. Zwłaszcza jeżeli to on go wywołał.

– Oczywiście, że nie – stwierdziła sarkastycznie. – Zdaje się, że mówiłeś coś o byciu szanowanym obywatelem. Jeśli dobrze rozumiem, masz zamiar zostać kimś w rodzaju ziemianina, może prezesem izby handlowej...

– Nie! – przerwał jej niecierpliwym gestem. – Pozycja społeczna i honory nie dla mnie nie znaczą. Chcę tylko stać się pełnoprawnym członkiem tutejszej społeczności.

– Ja ci do tego nie jestem potrzebna.

– Ależ jesteś – powiedział spokojnie. – Potrzebuję kogoś, kto wskaże mi, jak się ubierać, jak się zachowywać, który nóż jest do masła, a który do ryby, słowem – kogoś, kto nauczy mnie rzeczy, których nigdy nie wiedziałem i na które w ostatnich latach zupełnie nie miałem czasu. Ty najlepiej się do tego nadajesz.

– Czy jeżeli się zgodzę, zapomnisz o domu opieki i zostawisz Blest w spokoju?

– Niezupełnie – odparł, wytrzymując jej spojrzenie. – Jeżeli zgodzisz się zrobić ze mnie dżentelmena, będę chciał odnowić dom i sam w nim zamieszkać.

Zaskoczona, zmarszczyła lekko brwi.

– Mnóstwo innych osób potrafiłoby nauczyć cię dobrych manier.

– Ale mój projekt może się powieść tylko przy twoim udziale. Nie wystarczy, żebym miał maniery, które przystoją mieszkańcowi takiego domu. Ludzie muszą jeszcze widywać mnie z tobą. Dopiero wtedy uwierzą, że pasuję do dobrego towarzystwa. A to oznacza, że powinniśmy razem chodzić do restauracji, na tańce, czy ja wiem gdzie jeszcze... Liczę na to, że przedstawiś mnie swoim znajomym i jeżeli w ciągu najbliższych tygodni będziesz kogokolwiek zapraszać czy też sama dostaniesz jakieś zaproszenia, ja będę ci towarzyszył.

– Widzę, że wszystko sobie starannie obmyśliłeś – powiedziała z przekąsem.

– Mam też inny plan, gdyby ten nie wypalił. Spojrzała na niego uważnie, jakby chciała wyczytać z jego twarzy, co też ma na myśli.

– Przecież znasz większość moich przyjaciół. Wszyscy razem chodziliśmy do szkoły.

– Co wcale nie znaczy, że zechcą mi poświęcić choćby pięć minut. Chyba że ty za mnie poręczysz.

– Żle ich oceniasz – powiedziała. – Zresztą nieważne. W każdym razie nadal niczego nie umiem. Zrobiłeś karierę w wielkim świecie, do którego tacy prowincjusze jak my nie mają nawet wstępu. Dlaczego przejmujesz się tym, co ktokolwiek z nas pomyśli o tobie?

– Może chcę w ten sposób coś udowodnić?

– I ja mam ci do tego posłużyć?

– Zawsze możesz odmówić – zauważył rzeczowo. To był właściwy ton – za wszelką cenę uniknąć wrażenia, że idzie na ustępstwa.

Odwróciła się i zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju.

– Czy na pewno tylko o to ci chodzi? – spytała przez ramię.

– Tak, na początek. Oczywiście, jeżeli zdecyduję się zatrzymać dom, będę musiał przeprowadzić roboty i go urządzić. W tym przypadku też liczyłbym na ciebie. Pomogłabyś mi wybrać zasłony, meble, zdecydować się na odpowiednie kolory. Zależałoby mi, żeby wyglądał tak, jak w dawnych czasach. Byłoby z tym sporo pracy, ale jestem pewien, że dogadalibyśmy się co do warunków finansowych.

Zatrzymała się i stanęła przy nim twarzą w twarz.

– Chcesz mi płacić?

– To normalne – ty mi pomagasz, ja płacę.

– Nie potrzebuję twoich pieniędzy.

– Nie musisz reagować w ten sposób. Nie traktuję cię jak dziewczyny z agencji towarzyskiej – powiedział chłodno. – Chyba, że wolisz tak do tego podejść.

– Nie! – zawołała, po czym powtórzyła już ciszej:

– Nie.

– Tak też myślałem – zaśmiał się krótko w odpowiedzi.

Anna poczuła się zupełnie wyczerpana, jak zawodnik, który walczy i, niestety,

przegrywa. O człowieku rozmawiającym z nią w tym ciemnym pokoju o nieprawdopodobnie wysokich ścianach mówiono, że jest bezwzględny w interesach, szatańsko przebiegły w negocjacjach i potrafi po mistrzowsku manipulować ludźmi. Było to całkiem prawdopodobne. Wykorzystywał jej wątpliwości i podejrzenia w taki sposób, by zrobiła dokładnie to, co chciał.

Po tylu latach niewidzenia stanowił dla niej zagadkę – nie wiedziała, co mu chodzi po głowie i nie potrafiła się domyślić. Stał przed nią całkowicie obcy mężczyzna, owszem, dobrze zbudowany, silny i pociągający tą swoją prawie brutalną, surową siłą, ale jego pewność siebie i determinacja były wręcz przerażające. Tylko kruczoczarne włosy, skóra w kolorze miedzi i wyraźnie zaznaczone kości policzkowe – dziedzictwo po hiszpańsko-indiańskich przodkach matki – świadczyły o tym, że to ten sam chłopiec, którego znała przed laty.

Blest, historyczna siedziba jej rodziny, w której Anna sama co prawda nigdy nie mieszkała, którą jednak kochała i znała w niej każdy zakamarek, stanowiło teraz własność Ripa Petersona. Kiedyś był biednym chłopcem z Montrose, teraz stał się bogaczem. Zrobił majątek na elektronice, a dom kupił za pośrednictwem jakiejś podstawionej korporacji, zanim ktokolwiek zorientował się, co się dzieje. Zachowywał się tak, jakby miał zamiar dostać za niego okup.

Czy zniszczyłby Blest, gdyby odrzuciła jego propozycję? Patrząc na jego ostre rysy, Anna pomyślała, że byłby do tego zdolny chociażby z czystej złośliwości – jeżeli nie z chęci zemsty.

Bezwiednie odwróciła się i wyszła do długiego korytarza łączącego front domu z tylną częścią. Przystanęła, bo jej wzrok przyciągnął fresk zajmujący całą długość północnej ściany. Przedstawiał Blest w dawnych czasach – okazałą willę wznoszącą się jak klejnot

pośrodku kwitnących pól bawełny. Przy krzakach uwijały się czarne sylwetki, podczas gdy ubrani we fraki panowie i damy w krynolinach odpoczywali na balkonie. Cała scenka wydawała się trochę niewyraźna, osnuta lekką mgłą, jak ilustracja bliżej nieokreślonego mitu, snu o tym, czym było kiedyś życie amerykańskiego Południa.

Najważniejszą część malowidła stanowiły jednak postaci trojga młodych ludzi, którzy urządzili sobie piknik w cieniu drzewa na wielkim trawniku przed domem. Kobieta i mężczyzna siedzący obok siebie byli jasnowłosi i opaleni, drugi mężczyzna, znacznie od nich ciemniejszy, trzymał się trochę z boku. Byli to Anna, Tom i Rip, sportretowani realistycznie, we współczesnych strojach. Zdawało się, że upał rozleniwiał ich i skłonił do marzeń – każde było pogrążone we własnych myślach. Ich postaci należały do przedstawionej w tle scenki z przeszłości, lecz jednocześnie były od niej oddzielone – patrzyły przed siebie, nie do tyłu.

Tę oryginalną kompozycję stworzył Papa Vidal, przez lata ogrodnik i stróż w Blest, a jednocześnie uzdolniony malarz-amator. Zrobił to któregoś lata, kiedy Anna, Tom i Rip odwiedzali go jak zwykle w wielkim, opustoszałym domostwie. Dwie panie, które kupiły Blest pod koniec lat trzydziestych, już nie żyły. Dom odziedziczyła ich siostrzenica z Kalifornii, która nie miała możliwości go doglądać, ani tym bardziej w nim zamieszkać. Spadkobierczyni zostawiła wszystko na głowie Papy Vidala, pozwalając mu zachować mały domek na terenie plantacji, w którym zresztą mieszkał przez całe swoje życie.

Papę Vidala uważano w Montrose i okolicach za chodzącą legendę. Już szesnaście lat temu był bardzo stary. Jego czarna skóra była nieprawdopodobnie pomarszczona, a bieluteńkie, skręcone jak świderki włosy, tworzyły przedziwną plątaninę. Ubierał się w koszule, które sam zszywał z kawałków najrozmaitszych materiałów. Koszule miały zawsze kieszeń, z której wyglądał łypek jego ulubionej towarzyszki – kury-liliputki o imieniu Henerietta. Nie miał nic przeciwko wizytom trojga nastolatków, którzy uciekali do Blest

przed wścibskim okiem dorosłych. Czasami toczyli między sobą poważne dyskusje, a czasami płatali sobie najgłupsze kawały albo bawili się w chowanego, bo czego jak czego, ale zakamarków, w których można się ukryć, w Blest nie brakowało.

Papa Vidal patrzył na ich wybryki pobłaźliwie – wiedział, że nie zrobią nic złego. Uważał za rzecz naturalną, że potomkowie Montrose'ów przychodzą tutaj, do swojej dawnej siedziby. Zresztą co najmniej połowa mebli w domu pochodziła z czasów, gdy dom był własnością tego zacnego rodu.

Towarzystwo całej trójki sprawiało wręcz przyjemność Papie Vidalowi. Opowiadał im historie z przeszłości – o pannie młodej, która krzycząc wniebogłosy, uciekła z domu w swą noc poślubną w 1840 roku, o dzierżawcy, który powiesił się w komórce na narzędzia czterdzieści lat później, o słynnym pisarzu, który przyjechał tu na wakacje w lecie 1950 roku, po czym zamknął się w pokoju, żeby pisać, a drzwi otwierał tylko wtedy, kiedy przynoszono mu nową porcję whisky. Zwierzył im się również z tego, jak zaczął malować, używając pędzli zostawionych przez jednego z artystów odwiedzających dom, i jak wystawiał swe pierwsze płótna na głównym placu w mieście – potem dołączyli do niego inni, aż w końcu zrobił się z tego doroczny festiwal sztuki.

Czas spędzany z Papą Vidalem płynął powoli i leniwie. Tyle że było to bardzo dawno temu.

– Wiele się zmieniło, od kiedy stąd wyjechałeś. Między innymi umarł mój ojciec – powiedziała głośno, tak żeby Rip ją usłyszał.

– Podobno na atak serca? – odezwał się ze znacznie bliższej odległości, niż się spodziewała. A więc przyszedł tu za nią, a ona nawet nie zdała sobie z tego sprawy.

Przypomniała sobie, że dawniej też tak się poruszał – zwinnie i bezszelestnie.

– Nigdy tak naprawdę nie podniósł się po ciosie, jakim było zniknięcie Toma. Poza dość

spora polisą ubezpieczeniową niewiele zostawił matce i mnie. Musiałyśmy zacząć znacznie skromniejsze życie, sprzedać dom i przeprowadzić się do mniejszego. Nie mogłam sobie pozwolić na college, więc skończyłam szkołę handlową. Potem przyjąłm posadę asystentki prawnika...

– I wysłaś za swojego szefa – powiedział tonem, z którego trudno było wyczytać jego nastawienie.

– Jeżeli o tym wiesz, to prawdopodobnie orientujesz się również, że moje małżeństwo nie przetrwało nawet trzech lat. Straciłam jednocześnie i męża, i pracę. Teraz pracuję w sądzie. Wbrew temu, co myślisz, nie mam już takich znajomości i wpływów jak dawniej.

– Wróciłaś do swojego panińskiego nazwiska. Znowu nazywasz się Montrose. To chyba coś tutaj znaczy.

– Nic nie znaczy. Już nie.

– Nie żartuj – zaśmiał się krótkim, urywanym śmiechem.

– Czasy się zmieniły. Przyszli nowi ludzie, założyli nowe firmy. Większość z tych, co kiedyś byli ważni, straciła swoją pozycję. To raczej tacy jak ty poszli w górę. Twoja firma to podobno gigant w dziedzinie mediów elektronicznych. Mieszkałaś w Dallas, na Zachodnim Wybrzeżu...

– Owszem, ale nic mnie już tam nie ciągnie – przerwał jej. – Sprzedałem wszystkie swoje udziały.

Słyszała te pogłoski, ale trudno jej było w nie uwierzyć, tym bardziej że mówiono o wielomilionowych kwotach.

– A to dlaczego?

– Zacząłem się nudzić – wzruszył ramionami. – Poza tym uznałem, że mam inne rzeczy do zrobienia.

– Na pewno mógłbyś je robić w dowolnym miejscu. Dlaczego postanowiłeś wrócić tutaj?

– Bo właśnie tutaj zaszły bardzo ważne dla mnie wydarzenia – odpowiedział, patrząc na nią prowokująco. – Zmieniły moje życie, odebrały rozmaite nadzieje i pozmiały plany. Chcę to wszystko odzyskać, a nawet więcej: chcę rekompensaty.

– Rekompensaty? – Uniosła brwi ze zdziwieniem. – Co masz na myśli?

– Anno, ja tego nie zrobiłem. – Jego ciemne oczy zdawały się teraz czarne jak smoła. – Nikogo nie obrabowałem i ty powinnaś to wiedzieć.

– Jak to? Przecież...

– Powiedz mi jedną rzecz – przerwał jej. – Czy w Montrose ciągle jeszcze istnieje klub Bon Vivant?

– Tak, oczywiście – powiedziała, zastanawiając się, co znaczy ta nagła zmiana tematu. Co interesującego może zaoferować Ripowi taki męski klub, zrzeszający panów, których największą namiętnością jest łowienie ryb i pieczenie własnoręcznie upolowanej dziczyzny?

– To dobrze. Chciałbym dostać kartę członkowską.

– Ale, do licha, po co?

– Dla zasady.

Zauważyła, że zacisnął nagle szczęki. Zmrużył też lekko oczy, bo w ich kącikach pojawiły się zmarszczki, których przed chwilą nie było.

– Nie wiem, czy to możliwe. Do takiego klubu trzeba być wprowadzonym, trzeba uzyskać zgodę wszystkich członków. Taką rzecz robi się zazwyczaj dla swojego syna, siostrzeńca, szwagra czy starego przyjaciela, ale nie dla obcych ludzi.

– No właśnie. W Luizjanie wiele ważnych decyzji zapada w takich klubach – na przykład o tym, kto wystartuje w wyborach, od kogo administracja państwowa wydzierżawi lokale biurowe i tak dalej, i tak dalej... – powiedział, a po chwili dorzucił: – Chcę się tam zapisać.

– Przecież tobie w ogóle nie zależy na takich rzeczach!

– Powiedzmy, że ma to dla mnie znaczenie symboliczne – powiedział z jakąś ponurą determinacją. – Kiedy już tam się znajdę i zapłacę składkę, wtedy dopiero poczuję, że osiągnąłem coś w Montrose. Twoje zadanie też będzie wtedy zakończone.

Rozumiała już, do czego zmierza, ale realizacja takiego planu wcale nie zdawała się jej prosta.

– Będziesz potrzebował poparcia kogoś ważnego.

– Więc przekonaj któregoś ze swoich kuzynów, żeby mi go udzielił.

– Nie wiem, czy zechcą pomóc.

– Ze względu na to, że mam wpis o karalności? Czy może dlatego, że krąży we mnie indiańska krew? Na tym polega cały urok takiego wyzwania, Anno. W przeciwnym wypadku wszystko byłoby zbyt proste.

– A co będzie, jak się nie uda? Czy masz jakiś inny sposób na osiągnięcie swoich celów?

Patrzył na nią długo i uważnie. W końcu przelotny uśmiešek zaigrał na jego ustach i Rip odezwał się swoim trochę ochrypłym, lecz jednocześnie pięknym, bo głębokim głosem:

– Owszem, skoro już o to pytasz.

– A więc? – Wytrzymała jego spojrzenie, starając się opanować bicie serca.

Jeszcze raz się uśmiechnął, po czym odpowiedział jasno i dobitnie:

– Możesz wyjść za mnie za mąż.

ROZDZIAŁ 2

– Chyba nie mówisz serio.

Rip zauważył, że źrenice Anny z każdą sekundą robią się coraz szersze i ciemniejsze.

Mimo to nie wyglądała na specjalnie zaszokowaną lub rozżłoszczoną. Poczuł, że jest to moment, w którym należy zachować szczególną ostrożność.

- Nie uwierzyłybyś, jak serio potrafię traktować ten temat – odparł ze spokojem.
- Małżeństwo ze mną nie przyniosłoby ci od razu powszechnego szacunku, na którym zdaje ci się tak zależeć – powiedziała, patrząc gdzieś w bok.
- Spróbować nie zaszkodzi – stwierdził głośno, a w duchu pomyślał, że coś się dzieje z Anną. Wyglądała tak, jakby rozważała jego propozycję.
- Pozwól, że sprawdzę, czy wszystko dobrze zrozumiałam – odezwała się głosem trochę mniej opanowanym niż przed chwilą. – A więc twój plan jest taki: albo pomogę ci zostać poważanym obywatelem Montrose, albo zrównasz Blest z ziemią. Jako dowód sukcesu chciałbyś uzyskać członkostwo klubu Bon Vivant. Jeżeli to by ci się nie udało, wtedy spodziewałbyś się, że zostanę twoją żoną.
- Z grubsza rzecz biorąc, zgadza się. Oprócz jednej rzeczy...
- To znaczy?

Anna nie była tak spokojna, na jaką chciała wyglądać.

Zdradziło ją drżenie kącików ust, zanim zacisnęła je z całej siły.

Rip, zadowolony z tego odkrycia, powiedział:

- Jest jeszcze sprawa ostatecznego terminu. Masz miesiąc – aż do zabawy świętojańskiej w klubie Bon Vivant, bo domyślam się, że nie zarzucili tej pięknej tradycji?
- Nie zarzucili, ale muszę powiedzieć, że nie dajesz mi zbyt wiele czasu.
- Tyle, ile mogę. Tak czy inaczej, jeżeli sprawa jest do załatwienia, będziesz go miała akurat tyle, ile trzeba.

Nie wyglądała na przekonaną.

- Kiedy spodziewałbyś się dostać odpowiedź?
- Najlepiej teraz.
- Nie możesz wymagać, żebym zdecydowała się tak szybko. To poważne sprawy, muszę

się namyślić – przełknęła ślinę, odwróciła twarz i czekała na jego reakcję.

Ten prawie konwulsyjny ruch nie uszedł uwagi Ripa. Poczł przemożną chęć, by przycisnąć swe usta właśnie do tego miejsca na jej piersi, które przed chwilą zadrżało. Gdy jednak się odezwał, nic nie zdradzało jego myśli.

– Jutro będę jadł kolację w tej starej knajpie na Jimerson Road, która specjalizuje się w stekach. Jeżeli tam przyjdiesz, to będzie znaczyło, że się porozumieliśmy. Jeżeli nie, wynajmę ekipę do rozbiórki domu.

W jej oczach o zadziwiająco głębokim odcieniu szarości pojawiła się wzgarda.

– Ach, tak po prostu? Z ciebie naprawdę jest łajdak.

– Zawsze taki byłem – zaśmiał się boleśnie. Jej słowa ciągle potrafiły go zranić. – Ale jedno na pewno się zmieniło: teraz wiem, czego chcę, i realizuję swoje cele.

Wzdrygnęła się lekko, słysząc tę pogroźkę. Rip sądził, że jakoś mu się odgryzie, ale nie zrobiła tego. Zaciśnęła usta, odwróciła się i bez słowa ruszyła długim korytarzem. Widział jeszcze jej sylwetkę, gdy skąpana słońcem stała przez moment w frontowych drzwiach.

Potem zniknęła.

Gorący powiew pierwszych dni lata uderzył Annę z całą siłą. Szybko zeszła po schodach i dopiero znalazłszy się w cieniu rozłożystego dębu, pod którym zaparkowała samochód, poczuła chłód i ulgę.

W pobliżu coś się poruszyło. Odwróciła się gwałtownie.

– Dobry, pani Anno.

– O, Papa Vidal – ucieszyła się, słysząc znajomy głos.

– Nie zauważyłam cię.

– Jestem już taki stary, że zmieniłem się w ducha, tak?

– zachichotał. – Oj, pani Anna coś zamyślona... Ma pani teraz ważne sprawy na głowie,

co?

– Można to tak określić – odpowiedziała z kwaśną miną.

– Ja ostatnio też miałem dużo do myślenia. – Spojrzał na nią badawczo. – Tyle już lat żyję na tym świecie... W sierpniu skończę dziewięćdziesiąt cztery.

Trudno było w to uwierzyć, bo Papa Vidal zawsze wyglądał tak samo. Kiedy jednak Anna przyjrzała mu się uważniej, zdała sobie sprawę, że twarz ma całą w zmarszczkach, a ubranie wisi na nim jak na haku. Uśmiechnęła się serdecznie, ujmując go za ramię, i powiedziała:

– Dziewięćdziesiąt cztery lata! Piękny wiek!

– Ciężko mi będzie opuścić Blest. Miałem nadzieję, że dożyję tu setki. To jest mój dom.

– I twoje malowidła. Serce mi się kraje, gdy pomyślę, że to wszystko zostanie zniszczone.

– Tak, pani Anno – powiedział, chowając głowę w ramionach. – Ja wiem, że to tylko trochę bezwartościowej farby, ale te duże obrazy na ścianach są najlepsze ze wszystkiego, co stworzyłem. Jak dom zniknie, one znikną razem z nim.

Rzeczywiście, pomyślała, fresków nie da się przenieść w inne miejsce. Wystarczy je tknąć, a się rozsypią. Można by pewnie powycinać i ocalić fragmenty, ale to byłoby barbarzyństwo. Przecież uroda tych malowideł w znacznej mierze polega na tym, że oddziałują na widza swoimi rozmiarami i określonym miejscem zajmowanym w olbrzymich przestrzeniach domu.

Papa Vidal przesadzał jednak ze skromnością w zakresie wartości swoich dzieł. Nie dałoby się znaleźć drugiego afroamerykańskiego malarza równej klasy, który w dodatku tworzyłby od tak dawna. Wszystkie jego freski – zarówno te wcześniejsze, proste i surowe, którymi ozdobił oficyny, jak i wyidealizowane sceny, które umieścił w samej willi – miały nieocenioną wartość. Były świadectwem tego, jak kiedyś wyglądało życie i jak on je widział,

były wreszcie dowodami jego talentu.

Staruszek wyciągnął z kieszeni kurę-liliputkę, która wszędzie mu towarzyszyła. Pogłaskał ją, jakby chciał pocieszyć, aż stworzenie z błogością zamknęło oczy. Anna przypomniała sobie, że upodobał sobie tę kurę jeszcze jako pisklę, a było to tamtego lata, które okazało się tak feralne.

Wyciągnęła rękę, by pogłaskać atlasowe piórka.

– Jak się miewa Henerietta?

– Znośnie, ale biedaczka też się starzeje. I ona nie ma ochoty wyprowadzać się z Blest.

– Wiem – westchnęła Anna. – Trudno uwierzyć, że właśnie Rip może to wszystko zniszczyć.

– Pan Rip to nie jest zły chłop. – Papa Vidal pokręcił głową. – On tylko się dużo nacierpiał i serce go o to boli.

– To jeszcze nie powód, żeby niszczyć Blest.

– Prawda. Ale on tego nie zrobi, jak mu pani nie pozwoli.

Papa Vidal najwyraźniej wiedział coś o zamiarach Ripa. Może usłyszał strzępy jej rozmowy z nowym właścicielem Blest, a może Rip sam coś mu powiedział. Przecież na pewno mieli niejedną okazję, by porozmawiać, od kiedy Rip objął to miejsce w posiadanie.

– Czy wysłał cię, żebyś mi to przekazał? – zapytała z podejrzliwością.

Papa Vidal zmarszczył białe jak śnieg brwi.

– Pan Rip? Ani on mi głowy nie zawraca, ani ja jemu.

– Na pewno? W dawnych latach godzinami przesiadywał właśnie z tobą.

– Bo nie miał gdzie pójść. Matka mu umarła, ojciec skąpił mu pieniędzy na wszystko i jeszcze bił na dodatek, a to był naprawdę dobry chłopak. Zawsze trzymał mi drabinę, jak malowałem niebo.

– Tak, pamiętam...

Spojrzała w zamyśleniu na ptaka, kołującego nad starym rodzinnym cmentarzem, który znajdował się w obrębie posiadłości i był widoczny z miejsca, w którym stali. Ptak przysiadł najpierw na ogrodzeniu, a potem śmignął w gęstwą krzewów – głównie głogu i dzikiego wina – rosnących w cieniu wspaniałych cedrów.

Kiedyś ona, Tom i Rip uwielbiali chodzić na stary cmentarz. Nikt inny tam nie zaglądał, więc mogli bez przeszkód bawić się w chowanego między obeliskami i przesiadywać na ledwie wystających nad ziemię nagrobkach z białego marmuru.

To właśnie tam nadała Ripowi ten przydomek. Któregoś lata usnął na zniszczonej przez czas i niepogody płycie z grobu jej pradziadka. Jego głowa leżała akurat na wyszczerbionym napisie: *RIP, Requiescat in Pace** [Niech spoczywa w pokoju (łac.) – przyp. red.] . Uznała, że to bardzo dobry pomysł, by go tak nazwać.

Ile miała lat? Dwanaście, trzynaście? Była mała, ale wiele umiała. Pozwoliła mu spokojnie spać, wiedząc że jego ojciec często wraca do domu późno, pijany i wyciąga go z łóżka, by sprawić mu lanie za jakieś wymyślone przewinienia.

Ojciec Ripa utonął potem, łowiąc ryby na jeziorze w czasie burzy. Prawdopodobnie i wtedy był kompletnie pijany. Syn nie przyjechał na pogrzeb, bo siedział akurat w więzieniu.

– Ja wiem, że pan Rip nie zrobiłby mi krzywdy. – Papa Vidal starał się przyciągnąć z powrotem jej uwagę. – Gdyby tylko mógł, ocaliłby mnie i te moje bazgroły. Ale jak nie zdobędzie tego, co chce, to rozwali wszystko na drobne kawałki, tak że śladu nie zostanie.

Potem pojedzie sobie stąd i nigdy nie wróci. A stary Papa Vidal dokona swoich dni w tym domu starców, co jest po drodze do miasta.

– Mówisz o domu „Złota jesień”? Podobno jest tam całkiem nieźle. Mogłoby ci się spodobać.

– Nie mówię, żeby to było coś złego, ale to przecież nie jest prawdziwy dom. W dodatku

oni tam nie zechcą Henerietty.

Anna wiedziała, że Papa Vidal zawsze musi trochę pokluczyć, zanim wyłuszczy, o co mu chodzi. Zdawała sobie sprawę, że teraz też na pewno nie zechce po prostu poprosić jej o pomoc, bo wprowadziłby ją w zakłopotanie, gdyby musiała odmówić i jednocześnie sam poczułby się niezręcznie, gdyby jego prośba została odrzucona. Najwyraźniej jednak liczył na nią. Czuł, że ma do tego prawo, zważywszy że jego przodkowie żyli na tej ziemi i pracowali dla jej przodków. To stare zobowiązanie, chociaż nie wyrażone słowami, musiało mu się jawić jako rzecz oczywista.

– Zrobię, co będę mogła, żeby wszystko dobrze się ułożyło – powiedziała uspokajająco.

Na jego twarzy pojawił się wyraz filozoficznego pogodzenia z losem. Nacisnął klamkę samochodu Anny i przytrzymał drzwi, kiedy wsiadała.

– Trudno, żeby człowiek zrobił więcej niż to, co może zrobić, prawda?

Słowa starego towarzyszyły jej przez całą drogę do pracy i przypominały się wtedy, gdy usiłowała skoncentrować się na swoich obowiązkach. To, co usłyszała od Ripa, również nie dawało jej spokoju. Co chwilę stawały jej przed oczyma sytuacje sprzed lat. Była przekonana, że zniknęły gdzieś w mrokach niepamięci, ale nie – wracały teraz do niej z całą wyrazistością. Widziała siebie, Toma i Ripa, jak smażą nad ogniem kielbaski w starej wędzarni, przebierają się w stroje z początku wieku, wygrzebane z przepastnego kufra na strychu. Widziała, jak przez cały tydzień ślęczą nad starym serwisem obiadowym, który uparli się posklejać. Na początku tej pracy każde z nich przecięło sobie nadgarstek ostrym odłamkiem porcelany, żeby zawrzeć braterstwo krwi i poprzysiąc sobie wzajemną pomoc i wierność po wsze czasy. Papa Vidal też należał do tamtych czasów. Dyskretnie ich obserwował, sprawdzając jednocześnie, czy nie robią głupstw. Zawsze bardzo się bała jego wymówek i uważała, by nie zawieść jego zaufania.

Oprócz wspomnień jeszcze jedna rzecz przeszkadzała jej w skupieniu się na pracy. Otóż było możliwe, że Rip wiedział o zniknięciu Toma więcej, niż chciał powiedzieć. Przyszło jej to do głowy jeszcze wtedy, gdy z nim rozmawiała w tym wielgachnym salonie w Blest. Nie była pewna, że się jej uda, ale musiała spróbować. Nie miała innego wyjścia – musiała powiedzieć Ripowi, że zrobi to, czego od niej oczekuje. Wiedziała, że największy problem będzie z matką. Jak przekonać starszą panią, że wyrobienie przyzwoitej pozycji dla Ripa Petersona jest nie tylko możliwe, ale i słuszne?

Matylda Montrose nigdy go nie lubiła ani też nie akceptowała jego przyjaźni z Tomem, nie mówiąc już o Annie. Kiedy po włamaniu Rip został uwięziony, a Tom nie wrócił do domu, niechęć ta przerodziła się w chorobliwą prawie nienawiść. Matylda nie tylko nie zdobyła się na cień współczucia dla osiemnastoletniego chłopaka, który znalazł się za kratkami, ale opowiadała na prawo i lewo, że dostał w końcu to, na co zasłużył.

Cóż, trzeba będzie teraz bardzo ostrożnie dobierać słowa, by ją przekonać.

Niestety, nie miała do tego okazji.

– Coś ty, na miłość boską, robiła w Blest z tym człowiekiem? – zapytała matka, stając na progu ich parterowego domu, stylizowanego na ranczo. – Nie wierzyłam własnym uszom, gdy zadzwoniła do mnie Carolyn Bates z wiadomością, że przejeżdżała tamtędy i widziała z daleka twój samochód. Dlaczego jesteś taka głupia? Wiesz, co on mógł ci zrobić?

Matka piła – Anna czuła to w jej oddechu i słyszała w sposobie mówienia. To była jej ucieczka od myśli nie do zniesienia i od zmian, które zaszły w jej życiu.

– Ale nie zrobił – powiedziała z mieszaniną znużenia i irytacji w głosie. – Zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen.

– Dżentelmen! Peterson dżentelmenem! No cóż, więcej ci nie będzie zagrażał, bo będziesz się trzymać od niego z daleka. Słyszysz, co do ciebie mówię?

– Jak mam nie słyszeć, skoro wrzeszczysz! – Anna ominęła matkę i położyła torebkę na niskim stoliku przy wejściu, po czym ruszyła w stronę swojego pokoju.

– Mówię ci tylko, co masz robić. – Matka szła krok w krok za nią, nie dając spokoju. – Nie chcę, żebyś się spotykała z mordercą własnego brata, rozumiałaś?

– Przecież wcale nie wiesz, czy Tom nie żyje – odpowiedziała ze zmęczeniem Anna. – A już na pewno nie masz dowodów, że to Rip go zabił.

– Mam! Czuję to tu, w głębi serca! – Matylda uderzyła pięścią w swą obfita pierś.

Zawsze to samo. Anna wiedziała, że powinna być cierpliwsza w stosunku do matki, ale czasami nie miała siły na okazywanie zrozumienia w stosunku do kogoś, kto robił wszystko, by trwać w nieszczęściu i rozpacz. Powiedziała więc z nieodpartą logiką:

– Wybacz, mam, ale to nie jest żaden dowód.

– Przez te wszystkie lata nie dał znaku życia. Czego więcej ci potrzeba?

– Nie wiem... Czegoś namacalnego.

Zrzuciła z nóg pantofle i zaczęła odpinać guziki żakietu. Szło jej to trochę nieskładnie i był to jedyny znak wewnętrznego wzburzenia, jaki dał się zauważyć. Takie usposobienie odziedziczyła po rodzinie ojca – zachować stoicki spokój w chwilach kryzysu i nie szaleć z rozpacz. Jasnowłosa, szczupła i średniego wzrostu, nawet fizycznie nie przypominała matki – ciemnej, korpulentnej, niskiej.

– Jego nie ma, a ty nie chcesz tego przyznać – kontynuowała Matylda. – Ale trudno. Chcę tylko wiedzieć, co za diabeł cię podkusił, żeby jechać do Blest, skoro wiedziałaś, że jest tam ten człowiek.

Anna w kilku zdaniach zdała relację ze spotkania, omijając jedynie wzmiankę o ślubie.

Nie było sensu denerwować matki czymś tak mało prawdopodobnym.

Dyplomacja jednak nie zdała się na wiele. Matylda Montrose wpadła w histerię. Płacze i

krzyki spowodowały, że dostała mdłości. Anna musiała zaprowadzić ją do łazienki, przytrzymać głowę, a potem zmoczyć ręcznik i pomóc wytrzeć twarz.

– Nie płacz, mamó, proszę, nie płacz. Wszystko będzie dobrze – powtarzała, obejmując ją za wstrząsane szloch ramiona.

– Jak możesz tak mówić? Już nic nie będzie takie jak dawniej! Blest przetrwało tyle czasu, mimo że inne rodowe siedziby dookoła popadały w ruinę albo były wysadzane w powietrze. To nawet nie jest mój dom rodzinny, a patrz, jak ja to przeżywam. Tylko ty zachowujesz się, jakby nic strasznego się nie działo. Po prostu nie mogę tego zrozumieć! To akurat była prawda. Anna wiedziała, że matka nie wierzy, by można było cierpieć po cichu. Według niej jeżeli ktoś nie okazywał bólu, to dlatego, że go nie odczuwał. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że skrywane przeżycia mogą być równie silne, a nawet silniejsze niż te, o których mówi się głośno.

– Blest wcale nie musi zostać zniszczone.

– Nie, ale za jaką cenę? Przecież trzeba by spędzać całe dni, co ja mówię – tygodnie! – z tym kryminalistą. Pokazywać się z nim, stwarzać pozory wobec ludzi... Nie, jeszcze raz nie!

– Byłem kryminalistą, mamó. W dodatku to było dawno temu. Przesiedział tylko trzy lata. Tak czy inaczej, to nie musi być chyba takie straszne.

Matylda otarła usta ręcznikiem i rzuciła jej spojrzenie pełne wyrzutu.

– Ja wiem, ty i Tom zawsze byliście zaślepieni, kiedy chodziło o tego chłopaka. Staralam się wam to uświadomić, ale wy zawsze robiliście mi na złość. A ty nawet w idiotyczny sposób durzyłaś się w tym mieszańcu. Nie zaprzeczaj, wiem, że tak było.

– Było mi go żal – odparła Anna. Przypadkiem spojrzała na swoje odbicie w lustrze i zauważyła, że jej oczy nagle zrobiły się znacznie ciemniejsze niż normalnie, jak zwykle w chwilach emocji.

– Miałaś się nad kim litować! Pamiętam tę jego mamusię. Największa puszczańska w okolicy. Nic dziwnego, że zaszła w ciążę. I nic dziwnego, że jego ojciec nigdy się z nią nie ożenił.

– A co to ma wspólnego z Ripem?

– Zepsucie ma się we krwi, moja droga. Jestem przekonana, że zasłużył na te wszystkie cięgi, które dostał w życiu.

– Przecież ty nawet nie wiesz...

– I nie chcę wiedzieć!

Anna z najwyższym wysiłkiem powstrzymała się od wybuchu.

– Posłuchaj, mamó, Rip był prawdziwym przyjacielem dla Toma i dla mnie, ale nieważne, nie będę teraz o tym dyskutować. Jedyna rzecz, która się liczy w tej chwili, to uratować Blest.

– Nawet mi o tym nie wspominaj – powiedziała matka, miętosząc ręcznik. – Strasznie będzie patrzeć na rozbiórkę, ale w końcu to nie pierwszy stary dom, który zniknie z powierzchni ziemi, i na pewno nie ostatni. Nie mogłabym znieść myśli, że jesteś z tym człowiekiem, nie zniosłabym, żeby widzieli to moi przyjaciele. Nie, to byłoby zbyt wielkie upokorzenie.

Anna przyglądała się czerwonym cętkom na twarzy matki. Czowała się coraz bardziej zdeterminowana.

– Pomyśl – zaczęła ostrożnie – to tylko hipoteza, ale pomyśl, że mogłabym dowiedzieć się czegoś o Tomie, o tym, jaki był powód, dla którego zniknął tamtego wieczoru.

Matka zeszywniała. Unosząc z trudem głowę, popatrzyła na odbicie córki w lustrze.

– Sądziłam, że twoim zdaniem Rip nie miał z tym nic wspólnego – powiedziała.

– Tego nie powiedziałam. Ja po prostu wolę myśleć, że istnieje jakieś wytłumaczenie,

które wcale nie musi oznaczać, że Tom... że Tom...

– Nie żyje, to chciałaś powiedzieć? – przerwała jej ostro matka. – Naprawdę uważasz, że

Rip piśnie choćby słowo?

– Nie wiem. Może nie ma nic do powiedzenia. Ale przecież warto spróbować, prawda?

Matylda Montrose przeniosła wzrok w nieokreślonym kierunku.

– Będziesz musiała udawać, że go lubisz, udawać, że wierzysz w każde kłamstwo na temat tamtego przeklętego wieczoru, którym on zechce cię uraczyć.

– Wiem – mruknęła Anna, a po chwili dodała: – Czy pomyślałaś kiedykolwiek, chociażby przez minutę, że on może być niewinny?

– Nigdy!

– I nigdy cię nie zastanowiło, po co Rip miałby włamywać się do stacji benzynowej, tłuc szybę i tak dalej, skoro tam pracował, a właściciel ufał mu do tego stopnia, że dał mu klucze?

Przecież mógł tam przychodzić i wychodzić, kiedy chciał.

– Upozorował włamanie, żeby skierować podejrzenia na kogoś innego, to wszystko wyjaśnia.

– Naprawdę? A fakt, że pieniądze zabrano z sejfów, o którym wiedziały tylko osoby związane z tamtym miejscem? Mamo, oskarżałaś Ripa o najróżniejsze rzeczy, lecz o ile pamiętam, nigdy nie powiedziałaś, że jest głupi.

– Tak, tak, on jest zdecydowanie za mądry. To mi wygląda na jakieś wynaturzenie.

– Biorąc pod uwagę środowisko, z którego wyszedł? Łachmaniarz – zdaje się, że tak go po cichu nazywałaś?

– Zgadza się.

– No właśnie.

Anna westchnęła ze zrezygnowaniem. Żeby uznać Ripa za niewinnego, matka musiałaby

przekonać się, że pieniądze, jakie miał, nie pochodziły z kradzieży. Musiałaby również zmienić swój sposób myślenia o jego związku ze zniknięciem Toma, to zaś wymagałoby z jej strony obiektywnej, trzeźwej refleksji. Musiałaby się wówczas zastanowić, czy Tom nie miał przypadkiem powodów, dla których chciał zerwać z domem. Do takiej szczerości wobec samej siebie matka była jednak niezdolna. Tom w jej wspomnieniach pozostał ukochanym synkiem bez skazy, który nigdy nie opuściłby rodziny.

– Rip Peterson został skazany wyrokiem sądu – odezwała się, jakby na potwierdzenie myśli Anny.

– Owszem. Dlaczego jednak nie powiedział ani jednego słowa na swoją obronę?

– Dlatego, że gdyby otworzył usta, jeszcze bardziej by się pogрузzył!

– Nawet kłamstwo byłoby lepsze od milczenia.

– Och, to było w jego stylu. Przecież nigdy się od niego nie usłyszało dzień dobry ani do widzenia. Przychodził tylko po Toma i gdzieś go wyciągał. Przypominał mi bezdomnego psa, który się błąka po różnych dziurach. Nie mogłam znieść, kiedy był w pobliżu, w dodatku zawsze miałam wrażenie, że tylko szuka okazji, by coś ukraść.

– On to wszystko widział.

– Bo też wcale nie kryłam swojego nastawienia. Jeszcze tego brakowało, żebym go zachęcała do wizyt! Skóra mi cierpła, gdy obserwowałam, jak on na ciebie patrzy, jak chodzi za tobą...

– Za mną? – Anna nie potrafiła ukryć nagłego zainteresowania.

– Ależ oczywiście! To się zaczęło, kiedy byłaś jeszcze całkiem mała. Raz go przyłapałam, jak bawił się twoimi włosami. Miałaś osiem albo dziewięć lat, siedziałaś z nim i poddawałaś się temu, co robił.

– Pamiętam. Urządziłaś straszliwą scenę.

– Bo trzymałaś mu rękę na kolanie i opierałaś się o niego, a on ścisnął cię między nogami. To było obrzydliwe!

– Byłam dzieckiem – powiedziała Anna z rozdrażnieniem. – Rip też nie mógł mieć więcej niż dwanaście lat.

– Wystarczająco dużo, żeby wiedział, co robi.

– A co on właściwie robił twoim zdaniem?

– Dotykał cię, wykorzystywał w najobrzydliwszy sposób!

– Moje wspomnienia są całkiem inne.

Wbrew tej kategorycznej odpowiedzi Anna poczuła nagły przypływ gorąca na wspomnienie leniwej koszy, która ogarnęła ją w tamtym momencie. Czowała się bezpiecznie, gdy Rip był tak blisko i przesuwając palcami po jej włosach. Byli wtedy niczym zestrojony ze sobą, oddychali w tym samym rytmie, nawet ich serca uderzały jednocześnie. Nagle stanęło jej przed oczyma inne wydarzenie.

– Skoro już wspomniałaś o bezdomnych psach, to jakoś nie narzekałaś na obecność Ripa wtedy, kiedy na podwórzu zabłąkał się chory na wściekliznę wyżeł.

– Był starszy i większy, więc cię obronił. To naturalne, że stanął między tobą a tym bydlęciem.

– Tom też był starszy, ale uciekł – zauważyła Anna.

– Żeby sprowadzić pomoc! Poza tym nikt nie wiedział, że ten pies jest wściekły.

– Rip jakoś wiedział. – Anna rzuciła matce wymowne spojrzenie. – Powiedział mi to, kiedy wziął mnie na ręce, posadził na huśtawce i kazał się nie ruszać. Nie zaczął uciekać, nawet kiedy pies ruszył do ataku. Potem dostał serię zastrzyków w brzuch. On, nie ja...

– Zastrzyków, za które zapłacił twój ojciec – zareplikowała z oburzeniem Matylda. –

Zapewniliśmy mu doskonałą opiekę. Przecież to ja zawiozłam go do szpitala. Zresztą ty i

Tom narobiliście takiego krzyku, że trudno było postąpić inaczej.

– Za to Rip wcale nie krzyczał. Nie pisnął ani razu.

– Rzeczywiście. Przez następne dni służyłam mu za kierowcę i nie doczekałam się słowa podziękowania.

– A za co on miał być ci wdzięczny? Dla mojego dobra walczył z tym psem. Gdyby nie on, mogłabym już nie żyć. Czy ty mu w ogóle za to podziękowałaś?

– Na pewno byś nie umarła, przecież Tom zawiadomił nas o wszystkim. Prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy ten kundel nie przywlókł się właśnie za Ripem zza rzeki.

– Mamo, przestań!

– Tak czy inaczej, mieliśmy obowiązek zająć się chłopakiem. W przeciwnym razie jego wiecznie pijany tatuś zaskarżyłby nas, bo Rip odniósł obrażenia na naszym terenie. Anna zastanowiła się, czy matka zdaje sobie sprawę z tego, że wygaduje okropne rzeczy.

Wydawało się to mało prawdopodobne.

– W tej chwili moim obowiązkiem jest współpracować z Ripem. Uważam, że winna to jestem Tomowi – powiedziała krótko, wiedząc, że tylko niepotrzebnie traciłaby siły, próbując matce wytłumaczyć coś więcej.

Matylda ścisnęła z całej siły ręcznik, który ciągle trzymała w rękach.

– Pamiętaj tylko, że to niebezpieczny człowiek! Wrócił tu, żeby wyrównać stare rachunki i nie będzie zważał na to, kogo może przy okazji zranić.

– On mówi o rekompensacie, a nie o zemście – zaproponowała Anna. Przynajmniej nie zdradził się głośno z takim zamiarem, dodała w duchu.

– Jego deklaracje nie mają znaczenia. On nas nienawidzi, nienawidzi całego miasta za to, co mu zrobiło. Ani przez sekundę nie wolno ci o tym zapomnieć... – matka urwała nagle i przyłożyła dłoń do swoich drżących warg.

– Nie zapomnę. Będę bardzo ostrożna – odparła Anna. Nie potrzebowała podobnych przestróg. Dobrze wiedziała, jak bardzo niebezpieczny może być dla mej Rip. Nikt nie wiedział tego lepiej niż ona.

– Obiecujesz więc, że nie będziesz się z nim zadawać? Anna nie odpowiedziała.

ROZDZIAŁ 3

Rip czekał na Annę przy stoliku w rogu sali. Stała przed nim butelka z piwem, on zaś z wielkim skupieniem zabawiał się skrobaniem kolorowej etykiety. Bardzo chciał wyglądać na odprężonego, dlatego co chwilę wyciągał się na krześle i prostował swe długie nogi opięte w czarne dżinsy. Te wysiłki nie zdawały się na wiele, bo mięśnie ramion miał zeszywniałe z napięcia, a wolna ręka, którą opierał na udzie, sama zwijała się w pięść.

Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. A może raczej pozostali klienci starannie unikali patrzenia w jego stronę? Tak czy inaczej, Rip postanowił myśleć, że na pewno nie są do niego wrogo nastawieni, a to, że siedzą odwrócenymi plecami, wynika jedynie stąd, że nie chcą być uznani za ciekawskich. Efekt był wszakże taki, że siedział w kącie sam jak palec.

Annę zauważył od razu, gdy się zjawiała. Stała w drzwiach, jakby niezupełnie zdecydowana, czy powinna wejść, czy zrobić w tył zwrot. Żeby nie pozbawiać jej tej szansy, natychmiast odwrócił wzrok i ponownie zaczął pastwić się nad etykietką na butelce.

Nie uciekła. Podeszła i uśmiechnęła się blado, gdy na nią spojrział.

– Przepraszam za spóźnienie – jej głos brzmiał naturalnie, chociaż oddychała trochę za szybko. – Mam nadzieję, że nie czekałeś zbyt długo.

Nie, wcale nie, pomyślał gorzko. Jakieś sto pięćdziesiąt przeraźliwie długich godzin.

Wstał, żeby podać jej krzesło. Mimo wszystko poczuł ulgę, że w ogóle przyszła. Jej obecność oznaczała, że zrobi to, o co prosił. Pierwsza runda się skończyła i on ją wygrał.

Wymamrotał jakąś odpowiedź i usiadł z powrotem. Usiłując stworzyć pozory

normalności, zapytał, czego się napije, a potem skinął na kelnerkę i zamówił mrożoną herbatę, której zażyczyła sobie Anna.

Patrzył na nią z przyjemnością. Włożyła sukienkę bez rękawów w kolorze soczystej zieleni, przepasaną szerokim paskiem z plecionej słomki. W jej uszach połyskiwały kolczyki z zielonkawym kamieniem. Makijaż miała tak delikatny, że prawie niewidoczny: tylko koralowa szminka kusząco podkreślała zgrabne usta. Ozdobne spinki po obu stronach głowy przytrzymały jej włosy, zaczesane starannie do tyłu.

– Włosy ci trochę ściemniały – powiedział prędzej, niż zdążył pomyśleć.

– Nic dziwnego – odparła, poprawiając odruchowo kosmyk nad czołem. – Większość blondynek ciemnieje z wiekiem, chyba że zdecydują się pomagać matce naturze.

– Ale ty tego nie robisz.

– Nie chce mi się w to bawić – powiedziała, nie próbując uniknąć jego wzroku.

– To dobrze. Podoba mi się, że są takie naturalne. Dzięki temu wyglądasz bardziej...

– Bardziej dojrzałe? – wpadła mu w słowo.

– Raczej jak dama – dokończył myśl, ale zaraz zrobiło mu się przykro, bo rozbawienie zniknęło z jej twarzy.

– Epoka dam minęła razem z turniurami i wbijaniem się w gorset – stwierdziła. – Ja jestem zwykłą kobietą, która stara się przyzwoicie zarobić na życie i dbać o sprawy, które leżą jej na sercu.

– Takie jak Blest i ten stary Murzyn? – Rip pociągnął łyk piwa.

– Na przykład.

– Zdajesz sobie sprawę, że większość śmiertelników uznałaby, że masz dość osobliwą hierarchię ważności?

– Niby dlaczego?

– Po prostu, tak jest. Wierz mi, Anno, jesteś wyjątkowym przypadkiem – zapewnił ją z przekonaniem.

– Och, nie wydaje mi się...

– Więc posłuchaj. – Rip odsunął na bok butelkę z piwem, po czym zaczął wyliczać na palcach: – Wiesz, kim byli twoi pradziadkowie i pradziadkowie twych pradziadków.

Mogłabyś odtworzyć swoje drzewo genealogiczne, sięgając do czasów biblijnego potopu.

Potrafisz nakryć stół na eleganckie przyjęcie, tak żeby każdy kieliszek, nóż i łyżeczka były na swoim miejscu. Umiałabyś zaplanować menu na bankiet dla prezydenta i zorganizować parafialny piknik. Przypuszczam, że jesteś w stanie połapać się w karcie win napisanej po francusku albo po hiszpańsku, a kiedy ktoś powołuje się na jakąś książkę, balet lub operę, też wiesz, o czym mówi. Masz piękny charakter pisma i nie tylko po – I trafisz zgrabnie sformułować bilecik z podziękowaniami, f ale jeszcze robisz to tak, żeby zawierał on jakąś myśl i nie był banalny. Jeżeli z tym wszystkim nie jesteś prawdziwą damą, to według mnie niedużo ci brakuje.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, aż w końcu się roześmiała.

– No dobrze. Nie wiem, jak to skomentować, ale na pewno ani w połowie nie jestem tak doskonała, jak myślisz.

Czuł, że powiedział za dużo, za bardzo się odsłonił. Na szczęście Anna zdawała się tak przytłoczona jego wymownością, że pozostało mu mieć nadzieję, iż nie zacznie się zastanawiać, skąd tyle o niej wie, i nie domyśli się, jak uważnie śledził jej życie przez wszystkie minione lata.

– Tym bardziej więc uważam, że może nam się powieść – dodał trochę obcesowo. –

Powiedzmy, że weźmiesz mnie w swoje ręce i sprawisz, że stanę się dżentelmenem w takim stopniu, w jakim ty jesteś damą.

W jej szarych oczach zamigotały srebrne błyski. Musiała głęboko odetchnąć, zanim się odezwała.

– Być może się mylę, ale nie wydaje mi się, żeby umiejętność pisania bilecików z podziękowaniami była ci niezbędna. Czego naprawdę chciałbyś się nauczyć?

– Wszystkiego. Dobrych manier. Który widelec jest do ryby, jak złożyć odpowiednie zamówienie w wytwornej restauracji, w jaki sposób rozmawiać z ludźmi, żeby nie wypaść na idiotę.

– Z tego, co widzę, twoje maniery są bez zarzutu. Niewielu spośród znajomych mi mężczyzn wstaje, kiedy kobieta wchodzi do pomieszczenia.

– Twój ojciec tak robił.

– Rzeczywiście – uśmiechnęła się.

– Staralem się go obserwować. Toma też.

– W takim razie nie mógłbyś znaleźć lepszych wzorów do naśladowania. – Anna znów przybrała poważną minę.

Rip wiedział, że popełnił błąd, wspominając mężczyzn z jej rodziny. Chcąc odwrócić jej uwagę, wskazał głową na sąsiedni stół.

– Popatrz na tego faceta: nie zdjął kapelusza. Nawet ja czuję, że coś tu się nie zgadza. Co się stało z zasadą, która wymagała, by pozbyć się nakrycia głowy przed jedzeniem?

Anna zrobiła grymas, który w zamierzeniu był uśmiechem wdzięczności za zmianę tematu.

– Ta zasada pochodziła z czasów, kiedy nie było jeszcze bitych dróg, a kurz, którego wszędzie było pełno, osiadał na rondzie kapelusza. Wystarczyłoby, żeby mężczyzna pochylił głowę do modlitwy przed jedzeniem, a cały kurz znalazłby się na talerzu.

– I co, ta zasada nie ma już zastosowania?

– Tego nie twierdzę, jednak w tej chwili tak niewielu mężczyzn nosi kapelusze, że w restauracjach nie ma już na nie wieszaków. Kapelusz położony na stole na pewno poplamy się jedzeniem, a jeżeli umieścić go na krześle, ktoś przez nieuwagę może na nim usiąść. A markowy kapelusz, na przykład Stetson, dużo kosztuje.

– Za dużo na to, żeby zostawiać go na wieszaku. Zakładając, że właściciel restauracji umieścił taki wieszak przy wejściu.

– To już rzadkość.

– W każdym razie każdy złodziej mógłby wsadzić sobie taki kapelusz na głowę i wyjść.

– A policja w naszych czasach raczej nie będzie strzelała do złodzieja kapeluszy.

Rip przez chwilę siedział cicho, ciesząc się, że potrafią wciąż rozmawiać tak jak kiedyś.

– Czy jako przyszły dżentelmen mam za każdym razem spodziewać się wykładu z historii? – uśmiechnął się nieśmiało.

– Raczej tak.

– To kiedy zaczynamy?

– Właśnie zaczęliśmy.

– W takim razie założmy, że mam w tej chwili na głowie kapelusz. Czy powinienem go zdjąć, czy nie?

– Powinieneś wybrać takie rozwiązanie, z którym będziesz się lepiej czuł.

– Najchętniej zrobiłbym tak, żeby taka kobieta jak ty dobrze o mnie myślała – powiedział i popatrzył na nią z naciskiem.

Anna zaczerwieniła się lekko i już miała mu odpowiedzieć, gdy kelnerka przyniosła wreszcie mrożoną herbatę i zapytała, co zamawiają do jedzenia. W trakcie wybierania dań z karty temat został zarzucony.

Anna z przyjemnością przysłuchiwała się wymianie zdań między Ripem i kelnerką.

Zdecydowany, pewny siebie, a jednocześnie uprzejmy, ani przez chwilę nie przypominał ludzi, u których brak obycia przejawia się nieśmiałością lub – odwrotnie – hałaśliwym grubiaństwem. Kelnerce najwyraźniej spodobał się miły i przystojny klient, bowiem zlecenie przyjmowała podejrzanie długo, zadając dodatkowe pytania i proponując wszelkie możliwe dodatki do steku. Mało brakowało, a zaproponowałyby mu klucze do swojego mieszkania. Uśmiech, jakim obdarzyła go na końcu, był jawnym zaproszeniem do flirtu, ale Rip chyba tego nie zauważył.

– Jeżeli to właśnie był przykład tego, w jaki sposób zachowujesz się w restauracji, naprawdę nie mam cię czego uczyć – powiedziała Anna trochę oschle, sięgając po napój.

– Robię, co mogę, żeby sprawić na tobie dobre wrażenie – uśmiechnął się szeroko. –

Rzeczywiście, nie mam większych problemów w zwykłych restauracjach, gdzie po prostu przynoszą ci nóż i widelec zawinięte w serwetkę. Kłopoty zaczynają się w miejscach, w których pięciu wyfraczonych kelnerów uwija się koło ciebie w nabożnym napięciu, a dania przychodzą z kuchni pokropione wodą święconą.

Anna nie mogła powstrzymać śmiechu, a ponieważ dokładnie w tym momencie pociągnęła łyk mrożonej herbaty, zakrztusiła się. Łzy napłynęły jej do oczu, odstawiła czym prędzej szklankę i chwyciła serwetkę, z której wypadł nóż i widelec. Zdążyła jeszcze zakryć usta, zanim wstrząsnął nią atak kaszlu. Potem chrząknęła dyskretnie, aż wreszcie z łzawym uśmiechem zwinęła papierowy kwadracik.

– A widzisz? – Rip rozsiadł się wygodnie. – Nie mówiłem? Żadnego plucia, rozlewania herbaty, nawet gdybyś miała zadusić się na śmierć. Kto tak się zachowuje, jak nie dama?

– Nie bądź śmieszny.

– Nigdy więcej – odparł enigmatycznie, po czym nie zostawiając jej czasu na odpowiedź, sięgnął po jej sztucę i rozłożył razem ze swoimi na stole. – No dobrze – zacznaj praktycznym

tonem – powiedz mi, co zrobiłabyś z tymi zabawkami, gdyby podano nam homara albo na przykład bażanta.

– Naprawdę chcesz się uczyć takich rzeczy?

– Naprawdę.

– Zgoda. Ale tutaj możemy liczyć tylko na zwykłe noże i widelce. Będziesz musiał wyobrazić sobie takie cudeńka, jak widelec do przystawek, nóż do ryby albo łyżkę do deserów – powiedziała Anna i zwróciła się do kelnerki o dodatkowe sztuce, by przynajmniej mieć właściwą liczbę rekwizytów do swej lekcji. Na początek wyjaśniła Ripowi wiktoriańskie pochodzenie zwyczajów podawania do stołu i podział sztuców w zależności od rodzaju serwowanych potraw. Kiedy dotarła do tego, w jakiej kolejności kładzione są sztuce po prawej stronie talerza, wpadło jej do głowy pewne podejrzenie.

– Zaraz, zaraz... Chyba jednak stroisz sobie ze mnie żarty. – Wycelowwała widelec prosto w jego pierś. – Przecież na pewno jadałeś ze swoimi klientami w najlepszych restauracjach, i to przez całe lata. Jak ci się to udawało, jeżeli rzekomo nie potrafisz odróżnić łyżeczki do herbaty od szczypców do cukru?

Rip oparł głowę na łokciach i wyznał z rozbijającą szczerością.

– Pozwalałem, żeby oni rozpoczęli cały rytuał, a potem ich naśladowałem.

– Nie wierzę. Jako gospodarz to ty powinieneś był dawać znak do rozpoczęcia posiłku.

Co się działo, kiedy nikt nie kwapił się z pierwszym ruchem?

Jego usta drgnęły lekko.

– W takim wypadku wybierałem najbardziej elegancką starszą damę, jaka siedziała w pobliżu, i robiłem dokładnie to samo co ona, nie tracąc nadziei, że zna się na tym choć trochę.

– A czy nie łatwiej było po prostu kupić sobie jakiś podręcznik savoir-vivre’u?

– Pracowałem osiemnaście godzin dziennie, przez siedem dni w tygodniu, żeby rozkręcić

firmę – odpowiedział. – To, czy biorę do ręki właściwy widelec, nie miało dla mnie żadnego znaczenia.

– Ale teraz ma – powiedziała, wpatrując się w niego uporczywie.

– Owszem.

Jakiś sygnał ostrzegawczy zadzwonił nagle w jej głowie, gdy spostrzegła w jego spojrzeniu głębię i czułość, których wcale się po nim nie spodziewała. Cóż, zdaje się, że kelnerka nie była jedyną kobietą, na której robiły wrażenie pewność siebie i zdecydowanie, połączone ze szczerym spojrzeniem i nienarzucającym się męskim urokiem. Anna upomniała się, że nie przyszła tutaj dla przyjemności ani nawet z ciekawości, po czym spuściła wzrok i poprawiła wzorowo ułożone sztucce.

– Bardzo się cieszę, że udało nam się spotkać na tę rozmowę – powiedziała zmienionym tonem. – Jest tyle rzeczy, o które chciałabym cię spytać. Wiesz, że napisałam kiedyś do ciebie, ale nie doczekałam się odpowiedzi?

– Naprawdę?

– Och, nie udawaj, że nie dostałeś tego listu. Nie odpisałeś, więc uznałam, że po prostu nie masz ochoty do mnie pisać.

Chociaż nie chciała, by tak to zabrzmiało, usłyszała we własnym głosie nutę urażonej dumy. To zabawne, pomyślała, wydawało mi się, że mam to już dawno za sobą.

– Rzeczywiście tak było – potwierdził John. – Poza tym uznałem, że lepiej będzie przeciąć wszelkie więzy i pozwolić ci żyć w spokoju.

Wyjaśnienie było tak proste, że mogło nawet okazać się prawdziwe. A może tylko chciała w nie uwierzyć?

– Rzeczą, która nie daje mi spokoju – powiedziała powoli, starannie dobierając słowa – jest to, że nigdy nie dowiedziałam się, co tak naprawdę stało się tamtej nocy, gdy zniknął

Tom. Nie poznałam żadnych faktów, które pozwoliłyby mi się zastanowić, w jakim stopniu

Tom był – jeśli w ogóle był – zamieszany w tę kradzież. Mam nadzieję, że teraz powiesz mi to wreszcie...

– Po co? Czemu miałoby służyć rozgrzebywanie tamtej sprawy? – spytał nieco zirytowany. – To zamknięty rozdział.

– Nie dla mnie. Chcę wiedzieć... czy ty w ogóle wtedy go widziałeś? Rozmawiałeś z nim? Był z tobą?

– Nie, nie byliśmy wtedy razem.

– Wtedy – podchwyciła. – Powiedziałeś „wtedy”. Czy to znaczy, że widziałeś się z nim później?

– Przez kilka minut. – I co?

– Anno, skończmy to, proszę.

– Czy wspomniał ci wtedy, że chce uciec z domu? Może powiedział cokolwiek... nie wiem, jakieś jedno słowo, które mogłoby podpowiedzieć, dokąd pojechał?

Rip potrząsnął niecierpliwie głową.

– Tom pił wtedy ostro, przecież sama wiesz. Poza tym on i cała ta banda, z którą spędził tamto lato, paliła trawkę od świtu do nocy. I nie tylko trawkę.

– A ty? Nie brałeś narkotyków?

– Przede wszystkim nie byłoby mnie na to stać. Poza tym musiałem codziennie być w pracy. Anno, proszę...

– Czy ktoś z nim był, gdy widziałeś go po raz ostatni? – nie przestawała pytać. – Może przyjaciele albo kobieta?

– Przestań, proszę... – Wyciągnął rękę przez stół, żeby ująć jej dłonie. – Naprawdę nie mogę ci pomóc. Gdybym mógł, zrobiłbym to już dawno.

Zabrzmiało to jak ostateczny wyrok. Wiedziała, że choć to bardzo trudne, musi się z tym pogodzić. Przynajmniej na razie.

Wysuwając rękę z jego dłoni, powiedziała chłodno:

– Trzymasz obydwą łokcie na stole.

– Co takiego? – Spojrzał na nią zdziwiony.

– Chciałeś, żebym popracowała nad twoimi manierami. Możesz oprzeć na stole co najwyżej dłonie i nadgarstki.

– Masz rację – powiedział bez entuzjazmu i wyprostował się na krześle. Oparł przedramiona na brzegu stołu. – Teraz lepiej?

– Może być.

Gdy tak siedział, swobodny, a zarazem uważny, zdawało się, że przez całe życie nie robił nic innego, tylko bywał w kosmopolitycznych salonach. Zarys wygiętych nadgarstków i silnych rąk, które pokrywał meszek ciemnych włosów, przywiódł Annie na myśl rysunki Michała Anioła będące studiami męskich dłoni – trochę kwadratowych, o długich palcach, subtelnych, a jednocześnie po męsku mocnych. Jej uwadze nie umknęły też niewielkie, stare blizny, stanowiące właściwie już tylko cienkie, białe linie na skórze. Taką linię Rip miał na grzbiecie dłoni i kilka w okolicach palców. Kostka małego palca u prawej ręki zdawała się lekko wygięta, jakby palec był kiedyś złamany i staw nie zrósł się dobrze.

To były ręce mężczyzny, który nie bał się pracy. Używał ich, żeby zbudować coś ważnego i trwałego, coś, co znaczyło dla niego tyle samo, co dla niej Blest. Musiała to uszanować, tak jak musiała przyjąć do wiadomości jego niewzruszony upór w sprawie Toma. Mimo woli patrzyła na niego z podziwem. Była w nim jakaś duma i niezależność, niechęć do poddawania się ocenie i wpływom innych ludzi. Biorąc pod uwagę to, od czego zaczął, musiała stwierdzić, że zaszedł w życiu bardzo daleko. Mogła tylko pogratulować mu

determinacji.

Nie zdołała zapanować nad wewnętrznym dreszczem, gdy Rip na krótką chwilę uniósł do góry rękę, co odsłoniło poszarpaną białą linię, zakończoną czerwonym zagłębieniem, która biegła w okolicy jego łokcia. Ta blizna została mu po tym, jak rzucił się jej na ratunek, gdy została zaatakowana przez wściekłego psa. Była mu za to coś winna – czyż nie miała w zwyczaju płacić za swoje długi? Ale ta blizna była czymś więcej: przypomnieniem długiego związku, jaki ich łączył, wspólnych wspomnień i przeżyć.

Wspomnienia...

Muśnięcia jego palców, rozgrzana twarz przyciśnięta do jej policzka w upalny dzień, dłonie przesuwające się powoli po jej wyprężonym dziewczęcym ciele. Gdy o tym myślała, ogarniała ją paląca ciekawość – czy po tych wszystkich latach on nadal robi to w ten sam sposób, kiedy jest z kobietą? Czy jego pieszczoty są tak samo delikatne i czułe, jak te, które zapamiętała?

– Anna? – usłyszała swoje imię, wypowiedziane głębokim, pięknym głosem, który teraz, nie wiedząc czemu, zabrzmiał trochę niepewnie.

Podniosła wzrok, by spostrzec, że Rip uporczywie się w nią wpatruje. Poczwała, jak krew napływa jej do twarzy, ale nie odwróciła spojrzenia. Jego ciemne oczy świeciły delikatnym blaskiem, jak brązowo-złocisty aksamit. Było w nich jakieś dziwne zrozumienie i przez chwilę zastanowiła się nawet, czy ten człowiek przypadkiem nie czyta w jej myślach.

Dysponowałby wtedy potężną bronią, której mógłby użyć przeciwko niej.

Na przystawkę zamówili przyprawioną lekko czosnkiem zieloną sałatę z dodatkiem obranego ze skórki grejpfruta. Wkrótce na stół wjechały dobrze wysmażone steki. Choć jedzenie było pachnące i smaczne, Anna przełykała je z najwyższym trudem. Niemal podskoczyła na krześle, gdy znienacka zza jej pleców wynurzyła się ręka kelnerki, która

podeszła, by zapalić świecę na stoję. Dłoń Anny lekko drżała, gdy nabierała na widelec kolejne porcje. Była całkowicie świadoma tego, jak działa na nią fizyczna obecność mężczyzny po drugiej stronie stołu oraz szepty i ciekawe spojrzenia rzucone w ich kierunku z sąsiednich stolików.

W miarę trwania kolacji zdała sobie sprawę, że jej stan nie bierze się tylko z nerwowości.

Było coś jeszcze: podekscytowanie podobne do oszołomienia szampanem.

Kiedy po raz ostatni czuła się w ten sposób? Ile czasu minęło od chwili, kiedy po raz ostatni wynurzyła się z powtarzalności i rutyny, żeby z pełną mocą zaangażować się w coś, w co naprawdę wierzyła? Całe lata. Takich sposobności nie było zresztą aż tak wiele w jej życiu, chociaż nie nazwałaby się osobą, która ucieka przed ryzykiem. Pomyślała, że musi dużo tracić, zamknięta w swoim bezpiecznym, małym świecie.

To dziwaczne zadanie, jakie Rip jej zaproponował, stanowiło wyzwanie, które zmąciło jej spokój i przyprawiło o szybkie bicie serca. Fakt, że oto siedzi przy jednym stole z tym człowiekiem, wywoływał w niej niepokój, lecz jednocześnie fascynował ją i podniecał.

Dzisiejszy Rip Peterson zdawał się jej bardzo bliski, ale przecież niesłychanie różnił się od Ripa, którego знаła kiedyś. Na jego twarzy pojawiło się kilka zmarszczek. Czy przyniosły je jakieś doświadczenia, o których nie wiedziała i nie miała prawa wiedzieć? W jego głosie pobrzmiwały nuty świadczące o skomplikowanych emocjach i o nich również nie miała pojęcia. Paliła ją ciekawość, by dowiedzieć się, kim naprawdę jest ten mężczyzna.

Zdawała sobie sprawę, że musi być ostrożna, bo gra toczy się o zbyt wielką stawkę, żeby pozwolić sobie na fałszywe ruchy. Wiedziała, że angażując się zbyt mocno, wszystko by popsuła.

Nie sądziła, by Rip rzeczywiście próbował zmusić ją do ślubu. Po prostu chciał ją trochę zastraszyć, groził jej. Małżeństwo to krok zbyt drastyczny, pociągający za sobą zbyt wielkie

zobowiązania, by traktować je instrumentalnie.

Chyba że Rip rzeczywiście oszalał i wymyślił sobie, że będzie to część należnej mu „rekompensaty”. Zadrżała na tę myśl.

– Coś nie tak? – spytał, widząc jej zmieszanie.

Potrząsnęła uspokajająco głową, patrząc mu przez chwilę w oczy. Poczowała suchość w gardle i z trudnością przełknęła ślinę. Odłożyła widelec, sięgnęła po napój.

Zanim uniosła szklankę, Rip ujął ją delikatnie za przegub.

– Odpręż się – powiedział spokojnym, równym głosem. – To nie jest sprawa życia lub śmierci. Nigdy nie zrobiłbym nic, co mogłoby cię zranić.

Anna czuła w całym ciele dziwne sensacje. Od nadgarstka, tam, gdzie trzymał ją Rip, rozchodziło się mrowienie, które biegło wzdłuż ręki i, jak się Annie wydawało, docierało gdzieś do samego środka jej jestestwa. Czuła, jak mięśnie brzucha napinają się, utrudniając tym samym oddychanie. Naprzeciw siebie widziała dwie wielkie źrenice Ripa, rozszerzające się i ciemniejące coraz bardziej, tak iż prawie mieściły w sobie migocący płomień świecy.

Gwar, który dochodził od sąsiednich stolików, ucichł nagle, jakby wchłonęła go pełna wyczekiwania, gąbczasta cisza.

Dopiero po chwili odkryła, że cisza jest prawdziwa i nie ma nic wspólnego z nią ani z Ripem. Coś działo się przy wejściu do restauracji. W momencie, gdy zwróciła tam głowę, spostrzegła w drzwiach swoją matkę. Pół kroku za nią szedł mężczyzna, który najwyraźniej towarzyszył jej w tej wyprawie. Anna natychmiast rozpoznała Amosa Bensona, sędziego, który skazał Ripa na więzienie.

Benson był starym przyjacielem rodziny, kumplem ojca od polowań i łowienia ryb. Jego żona zmarła na raka dwa lata temu, a kilka miesięcy temu Matylda Montrose zaprosiła go na kolację. Od tamtej pory spotkali się ze sobą jeszcze kilka razy. To, że są razem na kolacji, nie

było więc niczym dziwnym. A jednak ich widok spowodował, że Annie na kilka chwil mocniej zabiło serce.

ROZDZIAŁ 4

Rip powoli odwrócił wzrok. Minęło wiele lat, odkąd widział Matyldę Montrose po raz ostatni, ale teraz rozpoznał ją bez trudu. Gdy zdał sobie sprawę, co chce zrobić Anna, w nagłym impulsive zacisnął mocniej palce na jej szczupłej ręce, ale po chwili puścił ją i powoli wyprostował się na krześle. Możliwość takiego spotkania nawet przez moment nie przyszła mu do głowy. Nie teraz i nie tutaj! Skoro jednak miała spotkać go taka próba, był na nią gotów.

Lata zmieniły matkę Anny, postarzała się i przytyła. Jej obfite kształty okrywała czarna jedwabna sukienka, na szyi i w uszach połyskiwały brylanciki. Cała kreacja wydawała się jednak nieco na wyrost wobec bezpretensjonalnej knajpki, do której przychodzi się na dobry stek. Matylda przebiegła wzrokiem salę, kiwając głową jakimś znajomym, i dopiero po chwili spostrzegła stolik, przy którym siedzieli Rip i Anna. Uśmiech na jej twarzy zamarł.

Kompletnie zdezorientowana kelnerka, która podeszła do niej i do Bensona, by wskazać im miejsce, stała teraz, patrząc na nich bezradnie i powtarzając po raz trzeci to samo pytanie. Tymczasem Matylda Montrose, ciągnąc za sobą sędziego i całkowicie ignorując kelnerkę, ruszyła powoli w ich kierunku.

– Ach, co za niespodzianka – powiedziała protekcyjnym tonem.

Rip wstał z krzesła, częściowo przez grzeczność, a częściowo dlatego, iż nie chciał, by przy powitaniu patrzyła na niego z góry. Czuł, że robi mu się gorąco, lecz starał się ignorować spojrzenia i szepty, jakie zdawały się nacierać na nich ze wszystkich stron. Już dawno nie czuł się tak zażenowany. Ale matka Anny zawsze tak na niego działała. Stare zmory i strach, że ludzie nie chcą go takim, jakim jest naprawdę, powróciły ze zdwojoną mocą. Zanim zdążył

się z nich otrząsnąć, Anna odezwała się do matki:

– Jaka znów niespodzianka, mamó? Przecież wiedziałaś doskonale, że możesz nas tu zastać.

Jej ton, trochę znudzony, trochę nieuprzejmy, był najlepszą odpowiedzią na pretensjonalną wyższość, z jaką ich przywitano. Serce Ripa aż podskoczyło z radości. Czuł, że Anna jest po jego stronie. Dzięki temu był gotów stawić czoło tej kłopotliwej sytuacji.

– Dzień dobry, pani Montrose – powiedział. – Zapraszam panią i pana sędziego do naszego stolika. – Ukłonił się z uprzejmym uśmiechem Matyldzie i wyciągnął rękę do Bensona, choć wcale nie był pewien, czy ten się z nim przywita.

– Nie chcielibyśmy państwu przeszkadzać – odparł Benson, ściskając bez wahania podaną dłoń.

Zmienił się, miał teraz siwe włosy, które dodawały mu trochę lat. Poza tym, w porównaniu z obrazem jego osoby, który Rip zachował w pamięci, wydał się niższy. Nadal jednak wyglądał bardzo dobrze.

– Cieszę się jednak, że pana widzę – dodał sędzia przyjaznym, spokojnym tonem. –

Nieczęsto się zdarza, by młody człowiek, którego przyszło mi sądzić, odmienił swe życie i zdołał się wybić. Tobie, synu, podobno się udało. To wielka rzecz, możesz być z siebie dumny.

– Dziękuję panu – Rip z trudem zapanował nad głosem. Sędzia należał do nielicznych osób, które rozumiały, co to znaczy odrzucić piętno więzienia i zacząć wszystko od nowa. Pochwała z jego ust wiele znaczyła.

– Doprawdy, Amosie – mruknęła Matylda – nie przesadzaj z tą uprzejmością.

Benson zmarszczył brwi.

– Zapewniam cię, że w tym, co powiedziałem, nie ma żadnej przesady.

– A mnie się wydaje, że jest.

– Mamo... – powiedziała ostrzegawczo Anna.

– No cóż – Matyllda nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi – nie zapominaj, że jestem matką najlepszego kolegi Ripa, który zaginał dokładnie w momencie, gdy ten rozpoczął karierę kryminalisty. Nie ma się co dziwić, że mam inny stosunek do tej sprawy.

Dopiero teraz, przyglądając się Matyldzie Montrose z bliska, Rip zauważył czerwone obwódki wokół jej oczu i charakterystyczne nabrzmiące rysy. Poczł też zapach miętowej płukanki do ust, której użyła przed wyjściem, żeby zabić zapach alkoholu.

– Proszę pani, mnie naprawdę jest bardzo przykro. Bardziej niż potrafię wyrazić. Ale nic nie mogę zrobić w tej sprawie.

– Teraz być może nie, ale kiedyś...

– Wtedy też nie.

– Mógłbyś przynajmniej powiedzieć, gdzie jest pochowany. W końcu swoje już odsiedziałeś... – Przerwała, słysząc, że przez salę przeszedł cichy pomruk. To ludzie zaczęli komentować zajście. Po chwili jednak dodała z lodowatym uśmiechem: – Ależ co ja mówię! Przecież odsiadka za włamanie nie zostałaaby policzona na poczet kary za morderstwo, prawda?

– Mamo! – krzyknęła Anna.

Rip wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia.

– Nie zabiłem Toma – powiedział, starając się ukryć ból pod maską stanowczości.

– Mówisz tak samo, jak stary Vidal! – Po twarzy Matyldy pociekły łzy, czarne od rozpuszczonego tuszu. – Zresztą, kto teraz dojdzie prawdy... Jedno wiem: mojego Toma nie ma, a ty nadal żyjesz.

Anna wyrwała się Ripowi, obesła stół i zbliżyła się do matki.

– Teraz już naprawdę przesadziłaś, mamó. Dostyc tego!

– Tak, Matyldo, myślę, że za dużo zostało powiedziane – dodał smutno sędzia, biorąc kobietę pod rękę. Matylda jeszcze przez chwilę próbowała mu się opierać, w końcu jednak ustąpiła i pozwoliła się wyprowadzić.

Teraz wszystkie twarze zwróciły się w ich stronę. Anna czuła na sobie ciekawskie spojrzenia, ale nie chciała rozglądać się po sali. Dusila się ze wstydu, była wściekła na matkę za to, że usiłowała poniżyć Ripa publicznie. Pomyślała, że na pewno odebrał to jako powtórkę sytuacji sprzed lat, kiedy stanął przed sądem, a całe Montrose gapiło się na niego i osądzało, nie czekając na wyrok.

– Przepraszam za to, co się stało – powiedziała łamiącym się głosem. – Od jakiegoś czasu mama zachowuje się trochę dziwnie.

– Od czasu, kiedy się dowiedziała, że wróciłem, tak? Nie mogła zaprzeczyć, więc nie odpowiedziała. Wokół jego zaciśniętych ust pojawiła się biała linia.

Trudno było się zorientować, czy jest ona bardziej znakiem upokorzenia, czy wściekłości.

Szybkim ruchem wyjął portfel, z którego wyciągnął kilka banknotów. Rzucił je na blat i syknął:

– Chodźmy stąd.

Natychmiast wstała i ruszyła w stronę drzwi, a on za nią, trzymając rękę na jej talii. Ten gest bardziej był świadectwem zaborczości, niż pomagał jej iść, jednak Anna nie protestowała.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, owionęło ich ciepłe, ale już nie gorące, wieczorne powietrze. Pozwoliła Johnowi poprowadzić się do jego srebrnego BMW, chociaż w pobliżu stał zaparkowany jej samochód. Tłumaczyła sobie, że jeżeli po tym, co zaszło, Rip ma jeszcze ochotę na jej towarzystwo, nie powinna mu odmawiać. Poza tym nie zdążyli przecież omówić

interesów...

Odważyła się na niego spojrzeć dopiero wtedy, gdy wjechali na autostradę. Trudno jednak było cokolwiek wyczytać z jego twarzy, którą oświetlało tylko zielonkawe światło tablicy rozdzielczej, zaczęła więc z powrotem patrzeć przez szybę, nie pytając nawet, dokąd jadą.

Rip prowadził szybko i dobrze. Droga otwierała się przed nimi jak czarny dywan biegnący daleko w noc. Raz czy dwa Anna chciała coś powiedzieć, żeby rozładować napięcie, ale przychodziły jej do głowy same banały. Przez moment miała nawet zamiar włączyć radio, lecz z kolei nie była pewna, czy sama będzie mogła znieść hałas.

Po kilku minutach pojawiły się tablice obwieszczające najbliższy zjazd z autostrady. Rip zwolnił i wziął zakręt. Znaleźli się daleko od miasta, wśród pól. Anna już wiedziała, dokąd ją wiezie.

Blest pokazało się na końcu drogi jak zjawia. Rip zatrzymał auto i nacisnął guzik otwierający szyby. Opuściły się bezszelestnie, a wtedy przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zgasł, zapadła cisza. Światła samochodu wyłączyły się same po kilku sekundach.

Z ciemności dochodziły do nich odgłosy nocy – kumkanie żab, cykanie świerszczy ukrytych w gęstej trawie, krzyki nocnych ptaków. Kiedy ich oczy przyzwyczyły się do mroku, zobaczyli wyraźnie masywną sylwetkę domu, który milcząco wznosił się przed nimi.

Rip przesunął do tyłu swoje siedzenie i wyciągnął nogi.

– Tak tu spokojnie... Zawsze uważałem, że to najspokojniejsze miejsce na ziemi – powiedział z głową opartą o zagłówek.

– Ja też – przyznała cicho. – To był mój azyl, kawałek innego świata. To tu uciekałam...

– Przed czym? – Przekręcił głowę w jej stronę.

– Przed nudnymi obowiązkami, dobrymi manierami i uczeniem się tego wszystkiego,

czego zdaniem mojej matki powinnam była się uczyć, zamiast ganiać nie wiadomo gdzie z tobą i Tomem – uśmiechnęła się lekko, opierając łokieć na brzegu okna.

– O ile pamiętam, miałaś całkiem skuteczne sposoby na to, żeby się wymykać spod jej kontroli.

– To prawda. Zwłaszcza wtedy, kiedy mi w tym pomagałeś.

– O, ja tylko pukałem do frontowych drzwi, żeby spytać, czy Tom może wyjść.

– A ja korzystałam z tego, żeby wybiec tylnymi schodami. Musiałam się przeczołgać aż do kryjówki pod drzewami i dopiero gdy miałam pewność, że nikt nie patrzy przez okna, uciekałam co sił w nogach.

– Rzeczywiście byłaś bardzo szybka. Zapomniałem o tym – zachichotał.

– Już od dawna nie biegam.

– Dlaczego? Co się stało?

– Straciłam współników, szajka się rozpadła – rzuciła lekko, po czym oniemiała, bo uświadomiła sobie, jak to zabrzmiało. – Przepraszam, nie chciałam...

– Daj spokój. Wiem, co myślałaś – przerwał jej. – Naprawdę nie musisz zważać na każde swoje słowo, kiedy jesteś ze mną. Naprawdę, Anno.

Gdy usłyszała swoje imię wymówione jego głębokim, ciepłym barytonem, coś się w niej poruszyło.

– Wiem – powiedziała. – Ale ostatnia rzecz, jaką chciałabym zrobić, to...

– Urazić mnie? To nie takie łatwe, wierz mi.

Nie była wcale pewna, czy Rip rzeczywiście mówi to, co myśli.

– Tak czy inaczej, powiedziałam głupstwo, bo przecież prawda jest taka, że... no cóż... po prostu... wydorostałam.

– A teraz przychodzę ja i namawiam cię, żebyś zrobiła coś, czego nie powinnaś. Słowem,

sprowadzam cię na manowce.

– W takim ujęciu to brzmi wręcz zachęcająco.

– Doprawdy?

Nie odpowiedziała. Nie mogła odpowiedzieć, bo nagle zdała sobie sprawę, że jej żartobliwy komentarz zawierał znacznie więcej prawdy, niż miała zamiar ujawnić.

Przez chwilę obserwowali się w milczeniu. W końcu Rip zmienił pozycję i trzymając jedną rękę na kierownicy, zapytał:

– Dlaczego tu zostałeś? Dlaczego nigdzie nie wyjechałeś?

– Dlaczego nie próbowałam się wybić, tak?

– Czy nie tego chciałeś, nie o tym marzyłeś?

– Przez długi czas marzyłam o tym, że zostanę kapitanem statku wycieczkowego, opłynę cały świat, będę miała mnóstwo przygód, a potem wysiądę w jakimś porcie, pojadę na Saharę i zacznę żyć wśród Beduinów – uśmiechnęła się cierpko. – W pewnym momencie umyśliłam też sobie, żeby zrobić licencję pilota i pracować dla jakiegoś bogacza, który krąży między Londynem, Paryżem, Rzymem i Karaibami. Głupie, nierealistyczne plany...

– Nie takie znowu głupie. Będiesz latać dla mnie, jeżeli kupię prywatny odrzutowiec?

– Oczywiście – zgodziła się, wiedząc, że obydwójce w to nie wierzą.

– W takim razie dlaczego nie zrobiłaś żadnej z tych rzeczy? – zapytał łagodnie.

– Matka była w złym stanie, potrzebowała mnie. Musiałam szybko iść do pracy i zacząć zarabiać.

– Ale w małżeństwie jakoś ci nie przeszkodziła.

– A szkoda – zaśmiała się gorzko. – Nawet kiedy wyszłam za Chada, byłam blisko niej i zjawiałam się na każde zawołanie. Obowiązkowa, posłuszna, sumienna córka. I taka sama żona.

– Z tym małym zastrzeżeniem, że w końcu się rozwiodłaś – zauważył.

– Czyli w końcu nie taka posłuszna. – Anna zdawała sobie sprawę, że w jej głosie pobrzmiewa nutka wyzwania, ale nie umiała tego powiedzieć inaczej.

– Jaki był powód, jeżeli nie jestem zbyt niedyskretny? Przez moment nie odpowiadała, w końcu westchnęła ciężko.

– W restauracji mówiłeś o tym, jaka to ze mnie doskonałość. Rzeczywiście, wszyscy się spodziewali, że taka właśnie będę, a ja robiłam, co mogłam, żeby tak było. Ideały są jednak nudne. Chad znalazł sobie kogoś bardziej interesującego.

– A może musiał się podciągać do twojego poziomu, podczas gdy tamtej mógł imponować, nie robiąc żadnego wysiłku, co? Chyba rozumiem, na czym polegał jego problem.

– Dziękuję ci bardzo.

W tym momencie obydwójce się roześmiali.

– Powiedziałem, że rozumiem, na czym polegał jego problem, ale powinienem też dodać, że mnie on nie dotyczy – Rip wrócił do rozmowy. – Przecież ja znałem Chada. Nigdy nie mógł pogodzić się z tym, że ktoś jest od niego lepszy.

– Jeżeli sugerujesz, że się wywyższam...

– Nie. Ja mam w nosie status, klasy społeczne, to skąd ty pochodzisz, skąd ja przychodzę, komu się powiodło, a komu nie. To dla mnie nie ma znaczenia. Chcę tylko powiedzieć, że żaden mężczyzna nie lubi grać drugich skrzypiec. Ale przecież dwoje skrzypków może się do siebie dostroić i stworzyć duet, harmonijnie współpracować, a nie rywalizować.

Przez moment patrzyła na niego z szeroko otwartą buzią.

– Coś się stało? – spieszył się nieco.

– Wspaniale przemawiasz – odparła. – Poza tym to, co mówisz, jest jak balsam dla uszu

każdej kobiety.

– W takim razie decydujesz się? Będziesz grała? Błest jest tego warte?

– Dla mnie tak.

– Niezależnie od wszystkiego? – zapytał, pochylając głowę w jej stronę.

– Masz na myśli...

– Mam na myśli ludzkie spojrzenia, plotki, a zwłaszcza ten rodzaj pogardy, którego przykład dała nam przed chwilą twoja matka. Chyba niezbyt spodobało się jej, że widziała cię w moim towarzystwie. Czy jesteś gotowa się z nią zmierzyć?

– No... chyba tak, skoro już tu jestem.

– Chyba? – zapytał. Teraz, po ciemku, jego oczy zdawały się zupełnie czarne, a w głosie nie było ani odrobiny ciepła czy łagodności. – Musisz mieć pewność. Jeżeli miałabyś się wycofać, lepiej zrób to od razu, zanim sprawy zajdą za daleko.

– Nie wycofam się – zapewniła, zdziwiona własną stanowczością.

Przez chwilę przyglądał się jej uważnie.

– Wiesz, że to nie będzie łatwe – odezwał się wreszcie.

– Wiem.

– A więc naprawdę umowa stoi? Będziesz po mojej stronie?

Anna odetchnęła głęboko i wyjrzała przez okno. Czuła upajająco słodki zapach kapryfolium, w samochodzie pachniało świeżą skórą, obok siedział mężczyzna pachnący wytworną wodą toaletową, silny, gładki, świeży. W tej sytuacji możliwa była tylko jedna odpowiedź.

– Umowa stoi.

– I jeżeli jutro odeślę buldożery, sprowadzę tu architekta i ekipę remontową, to nie zmienisz zdania?

– Jutro? – nie potrafiła ukryć zdziwienia.

– Po co odkładać rzeczy na później? Skoro mam mieszkać w tym domu, lepiej od razu zabrać się do roboty. Nie wiem, czy wygram na tym, czy przegram, ale przynajmniej chcę spróbować.

– Ale ja sądziłam...

– Co takiego?

– Rzeczywiście, wspominałeś o tym, jednak czy naprawdę chcesz wprowadzić się do tego domu?

– Myślałaś, że założę w Blest fundację, muzeum sztuki czy coś w tym stylu?

– Bo ja wiem? – Zrobiła nieokreślony ruch ręką. – Zdawało mi się, że wolałbyś mieszkać w domu, który jest nowoczesny i dogodnie położony, na przykład gdzieś w pobliżu pola golfowego.

– Tak o mnie mówili? Oj, Anno, Anno... – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Czy ty naprawdę mnie nie znasz?

Rzeczywiście, nie znała go, choć właśnie zaczynała poznawać na nowo.

– Rozumiem, chcesz osiąść w Blest, żeby pokazać wszem i wobec, że ten dom już nigdy nie wróci do rodziny Montrose'ów.

– Nie wiem, jak będzie kiedyś. Być może dom przejmą nasze dzieci. Co prawda nie nosiłyby nazwiska Montrose, ale w ich żyłach płynęłaby krew Montrose'ów.

Nasze dzieci? Anna zadrżała, słysząc te słowa. Ale przecież sama obiecała, że jeżeli nie uda jej się zdobyć dla Ripa członkostwa w klubie Bon Vivant, będzie musiała za niego wyjść i z nim zamieszkać. Powiedział, że nie wie, czy czeka go wygrana, czy przegrana. Ciekawe, do której kategorii zalicza ewentualne małżeństwo.

– Mam pomysł – powiedziała, patrząc w noc przez otwarte po jego stronie okno. – Sally

Jo Holmes zaprasza mnie pojutrze na barbecue do swojego domu nad jeziorem. Możemy wybrać się razem i potraktować to jako twój towarzyski debiut. Następnego dnia, w piątek, wypada akurat comiesięczne spotkanie klubu obywatelskiego połączone z uroczystym obiadem. Będziesz mógł tam spotkać miejscowych przedsiębiorców, a wielu z nich należy do Bon Vivantów.

– Czy mówisz o Sally Jo Donaldson, która chodziła z Billym Holmesem? – zapytał z roztargnieniem, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej.

– Tak, pobrali się i mają dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Billy jest weterynarzem, przejął praktykę po doktorze Grahamie, kiedy ten odszedł na emeryturę.

– Wierzyć się nie chce, że wszystko tak się pozmiało. – Rip pokręcił głową.

– No wiesz, to już...

– Kawał czasu, wiem – powiedział to z takim smutkiem, że Anna pomyślała, iż myśli o latach straconych w więzieniu.

Nie mając pojęcia, jak zareagowałby w tej chwili na pocieszające słowa z jej strony, postanowiła udać, że niczego nie zauważyła.

– To co, pójdziemy do Sally Jo? – spytała. – To będzie kameralny wieczór – tylko ona z Billym, jeszcze jedna para znajomych i my.

– Zgoda. Od czegoś trzeba zacząć.

– W takim razie zadzwonię do niej jutro rano. Chociaż i tak mówiła, że mogę kogoś przyprowadzić, jeżeli mam ochotę.

– A miałaś?

– Nie spotykam się z żadnym mężczyzną, jeśli o to chciałaś zapytać.

– Chyba nie z braku okazji.

– Dziękuję za uznanie – uśmiechnęła się, wpatrując się intensywnie w tarczę księżyca,

który właśnie wychynął zza chmury. – Po prostu nie jestem tym zainteresowana.

– Dlaczego?

– Dobrze mi samej. Odpowiada mi to, że mogę chodzić tam, gdzie chcę i kiedy chcę, jeść to, co chcę i kiedy chcę, i tak dalej, i tak dalej.

– Wydawało mi się, że mieszkasz z matką.

– No tak... mieszkam z matką. Ale to mi nie przeszkadza.

– Taka kobieta jak ty nie powinna być sama.

– Myślisz, że nie potrafię o siebie zadbać, tak? – spytała, patrząc mu prosto w twarz. – Że koniecznie potrzebuję faceta, który by się mną opiekował?

– Myślę, że jest taki facet, który ciebie rozpaczliwie potrzebuje – wyznał i nie czekając na komentarz, mówił dalej: – A więc to jest twój sposób na życie. Za mnie jednak wyjdiesz, jeżeli okaże się, że nie ma innego rozwiązania?

Anna przygryzła wargi. Nadszedł czas na ostateczną deklarację, lecz ona wciąż nie wiedziała, co odpowiedzieć. Niewiele myśląc, kiwnęła głową na znak zgody.

– Masz moje słowo.

– Słowo Anny z Montrose'ów – powiedział uroczyście, po czym dodał z uśmiechem: – Nie mógłbym mieć lepszej gwarancji.

Ich oczy się spotkały. Rip z głośnym westchnieniem przyciągnął ją do siebie. Zanurzył wolną rękę w jej włosach, a potem zaczął błędzić palcami po twarzy, ostrożnie, powoli. Kiedy dotknął opuszkami jej ust, zatrzymał się. Niespiesznie przechylił głowę.

Najpierw musnął kilkakrotnie wargami jej wargi, jakby chciał wypróbować ich miękkość i dopiero po chwili wcisnął się językiem do środka. Annę porwała fala rozkoszy. Zalała ją i rozplynęła się po całym ciele, przynosząc wspaniałą błogość. Tak bardzo chciała mieć tego mężczyznę bliżej, o wiele bliżej niż teraz, ale wiedziała jednocześnie, że nie może pozwalać

sobie na takie pragnienia. Dopiero teraz...

Jęknęła radośnie, lecz ten dźwięk otrzeźwił ją i natychmiast wyszarpnęła się Ripowi.

– Co ty wyprawiasz? – zawołała.

Zauważyła lekkie drgnięcie na jego twarzy. Trwało to jednak przez ułamek sekundy.

Zaraz potem Rip oparł się o fotel i powiedział z uśmiechem:

– Najpierw uścisk ręki, potem pocałunek. Nie wiesz, że każdą umowę trzeba przypieczętować?

– Nie sądzę, żeby w tym przypadku było to konieczne.

– Nawet gdyby miała trochę bardziej nas związać?

– Jak na razie nie widzę, żebyś był czymkolwiek związany.

– Mylisz się – jego wesołość ustąpiła miejsca powadze. – Tylko że ja swoje więzy noszę od tak dawna, że na pierwszy rzut oka rzeczywiście ich nie widać. Przez moment sam myślałem, że jestem od nich wolny, lecz teraz widzę, że bez nich po prostu byłbym zgubiony.

Zrobiło się jej przykro, bo było oczywiste, że Rip zrobił aluzję do lat spędzonych w więzieniu i tego, jak odbiły się one na jego życiu.

– Kiedyś uwolnisz się od nich – szepnęła.

– Wątpię.

Ledwie to powiedział, w oddali rozległ się dziwny odgłos, coś w rodzaju stłumionego śmiechu. Anna poszukała jego spojrzenia. Była w nim taka zaciętość i determinacja, że aż przebiegł ją dreszcz.

Rip przekręcił kluczyk w stacyjce i już po chwili zostawili za sobą pogrążone w ciszy Blest.

ROZDZIAŁ 5

O północy rozszalała się burza. Bijące jeden za drugim pioruny obudziły Annę, która

odrzucała prześcieradło i podreptała do pokoju matki. Matylda nie lubiła być sama w czasie burzy.

Tym razem jednak była pogrążona w głębokim śnie. Leżała na wznak z szeroko rozpostartymi ramionami i chrapała przy każdym oddechu. Twarz miała nabrzmiąłą od alkoholu i łez. Anna weszła do łazienki, która przylegała do sypialni matki. W skąpym świetle przyciemnianej żarówki zobaczyła to, czego się spodziewała: fiolkę ze środkami uspokajającymi. Mimo że setki razy powtarzała matce, iż łączenie tych tabletek z alkoholem jest śmiertelnie niebezpieczne, Matylda najwyraźniej nic sobie nie robiła z jej ostróg. Przed wyjściem z sypialni przysiadła jeszcze na łóżku i ujęła matkę za rękę. Puls zdawał się normalny. Będzie jeszcze żyła, przynajmniej przez jakiś czas, będzie nienawidziła Ripa i będzie się go bała.

Znalazłszy się z powrotem w swoim pokoju, Anna podeszła do okna i odsunęła na bok zasłonę. Wiatr wściekle targał drzewami, a po niebie co chwilę przebiegały błyskawice, choć deszcz jeszcze nie padał. Patrząc na oszalałą przyrodę, pomyślała, że na pewno nie uda się jej teraz zasnąć. Czegoś jej brakowało, na coś czekała. Wiedziała, że ta nieokreślona tęsknota została w równym stopniu wywołana przez burzę, co przez pocałunek Ripa. Była też świadoma tego, że mieszanka „Rip plus pożądanie” jest dla niej tak samo niebezpieczna, jak „alkohol plus lekarstwa” dla matki.

Zawsze ją pociągał. Pewna doza brutalności i szorstkości w jego zachowaniu pobudzała jej wyobraźnię, a w miarę jak dorastali, zwiększała odczuwaną w stosunku do niego sympatię. Wydawał się taki wolny, bo przychodził i odchodził, kiedy chciał, postępował wbrew zakazom starszych, gdy tak mu było wygodnie, ale też bez cienia skargi znosił kary, jeżeli złapano go na gorącym uczynku. Zupełnie nie przypominał jej posłusznego, dobrze ułożonego brata – inaczej postępował, inaczej się ubierał, inaczej myślał. Niezależność była

po prostu cechą osobowości Ripa, nie zaś wyrazem szczeniackiego buntu.

Musiała jednak przyznać, że w jej towarzystwie zachowywał się zupełnie inaczej. Dzikus zmieniał się nagle w uprzejmego chłopca. Czowała się dzięki temu kimś wyjątkowym – Rip wyróżniał ją specjalnie i pokazywał tę część swojej natury, której przed innymi nigdy nie ujawniał. Była do niego szaleńczo wręcz przywiązana, choć to przywiązanie miało niewinny charakter. No, może niezupełnie niewinny pod sam koniec...

Anna знаła siebie i miała świadomość, że pod maską pozornego chłodu tkwi w niej gorąca, namiętna natura. Czasami myślała nawet, że tu należałoby szukać przyczyn, które spowodowały rozpad jej małżeństwa. Przypuszczalnie Chad w swej ciasnocie umysłowej nie mógł pogodzić się z faktem, że jego pospieszne starania nigdy nie wystarczały jej w łóżku, że zawsze chciała więcej. Więcej czego? Nie tylko seksu, nie. Więcej czułości, wyobraźni, głębszego zaangażowania w poznawanie jej erotycznych potrzeb. Owszem, spróbował raz czy dwa, ale to było ponad jego siły. Skończyło się tym, że znalazł sobie kobietę, która miała mniejsze oczekiwania w stosunku do niego.

Wreszcie lunęło. Anna zaciągnęła zasłonę i wróciła do łóżka. Zwinięta w kłębek, z łokciem podłożonym pod głowę, nasłuchiwała deszczu bębniącego o szyby. Błyskawice były już co prawda rzadsze, ale ich światło rozjaśniało jeszcze co chwilę pokój.

Lubiła burzę, zwłaszcza jeśli mogła ją obserwować z bezpiecznej kryjówki. Pomyślała, że chyba większość kobiet zachowuje się w ten sposób – szukają mocnych wrażeń, ale nie chcą przemocy i zbędnego ryzyka. Z drugiej strony żaden z elementów paktu, który właśnie zawarła z Ripem, nie mógłby zostać uznany za bezpieczny...

„Będziesz po mojej stronie?”

To pytanie zadane przez Ripa co chwilę do niej wracało. O nim na pewno można było powiedzieć, że jeżeli już raz stanął po którejś stronie, nic nie zmusiłoby go do odwrotu.

Nawet przez sekundę nie pomyślał o ucieczce, gdy zagroził jej wściekły pies. Trudne sytuacje powtarzały się zresztą wiele razy. Kiedyś nauczyciel angielskiego oskarżył Ripa o to, że odpisał od Toma wypracowanie, bo u obydwu pojawił się ten sam dziwny błąd ortograficzny. W rzeczywistości to Tom ściągnął od Ripa, ale był zbyt przerażony perspektywą awantury, którą zrobiliby mu rodzice, żeby powiedzieć prawdę. Udawał więc, że nic nie wie, a Rip nie pisał ani słówka, bo nie chciał go zdradzić.

Niejasne komentarze na temat tego zdarzenia dotarły do Anny w autobusie, gdy wracała ze szkoły. Koledzy, którzy chodzili z obydwojma chłopcami do klasy, opowiadali o tym, jak Rip wrzasnął do nauczyciela, że ma to wszystko w nosie, i nawet nagana od dyrektora nie zrobiła na nim wrażenia. Wieczorem widziała chlapiącego Toma, który przeproszał Ripa, mówił, jak mu przykro i proponował, że wyzna nazajutrz całą prawdę. Rip wzruszył tylko ramionami i stwierdził, że co się stało, to się nie odstanie. Anna doskonale widziała, że Tomowi ulżyło. Widziała też, że Rip udawał tylko, iż mu nie zależy na dobrej opinii – po prostu powiedział to, co jego przyjaciel chciał usłyszeć.

Rip zostawił go potem i poszedł dumać w samotności koło garaży, bo wiedział, że nikt go nie będzie tam niepokoił. Ona ruszyła jednak za nim, usiadła obok na ziemi, tak jak on podkuliła kolana i opłótła je ramionami. Miała ochotę pogłaskać go, przytulić, powiedzieć, jak bardzo jej przykro, ale bała się, że ją przepędzi.

W końcu wyciągnęła z kieszeni czekoladowy batonik, który trzymała na specjalną okazję, i wcisnęła go Ripowi do ręki. Spróbował się uśmiechnąć, ale łyzy, z którymi walczył już zbyt długo, trysnęły mu z oczu. Nawet teraz serce bolało Annę na to wspomnienie.

Jeszcze gorsze było wspomnienie jej wizyty w areszcie, zaraz po tym, jak Rip został zatrzymany pod zarzutem rabunku na stacji benzynowej. Odmówił spotkania z nią, nie wyszedł z celi i tylko wysłał do niej kilka słów na kartce – miała wrócić do domu i o nim

zapomnieć. Wtedy nie chciał mieć przy sobie nikogo.

Może i dobrze, bo nikt tak naprawdę nie zamierzał wówczas być przy nim. Tom zniknął i nigdzie nie można go było znaleźć. Ojciec Ripa chodził po mieście i zaklinał się, że John nie jest już jego synem. Jej matka oświadczyła, że Rip zawsze miał fatalny wpływ na Toma, ojciec zaś zgodził się z tym, aczkolwiek niechętnie. Nawet Papa Vidal, chociaż złożył korzystne dla Ripa zeznanie, nie miał zbyt wiele dobrego do powiedzenia na jego temat. Staruszek – bo przecież już wtedy był stary – oświadczył sądowi, że w noc, kiedy popełniono włamanie, widział Toma Montrose'a, jak jechał przez miasto na złamanie karku. Po licznych pytaniach, na które odpowiadał, jękając się i przestępując z nogi na nogę, wydusił wreszcie, że było to co najmniej godzinę po tym, gdy aresztowano Ripa i znaleziono przy nim pieniądze ze stacji benzynowej. To wystarczyło, by przestano podejrzewać Ripa o to, że zrobił Tomowi coś złego – wystarczyło ławie przysięgłych, sędziemu Bensonowi oraz ojcu Toma, bo nawet najbardziej przekonujący dowód nie zdołałby zadowolić matki. To Papa Vidal zasugerował, że Ripa złapano w momencie, gdy próbował zwrócić skradzione pieniądze. To przypuszczenie, a także fakt, że włamanie odbyło się bez użycia broni i nikt nie został ranny, wpłynęło na obniżenie wyroku – po trzech latach Rip mógł skorzystać z warunkowego zwolnienia.

Anna zamknęła oczy. Miała nadzieję, że jeżeli wsłucha się w miarowy odgłos deszczu, ukoji to jej napięte nerwy. Nic z tego. Zamiast odprężenia nawiedził ją obraz Ripa stojącego przed sądem w ostatnim dniu procesu. Zachowywał się wyniośle i zaczepnie, kiedy jednak zobaczył ją na ławce dla publiczności, posłał jej tak smutne spojrzenie, że serce mało jej nie pękło z żalu. Po wyroku całymi dniami płakała cichutko w swoim pokoju, aż do chwili gdy matka zobaczyła jej łzy i spoliczkowała za to, że jest niełojalna wobec rodziny i zdradza pamięć brata.

Te pełne złości słowa zdały się wtedy Annie bardzo dziwne, do dzisiaj zresztą nie mogła zrozumieć, dlaczego matka prawie od razu zaczęła mówić o Tomie jak o umarłym. Ona na przykład nie potrafiła pogodzić się z tym, że jej ukochany brat zniknął na zawsze. Jak to, pytała się w duchu, ten wesoły chłopak, który dzielił z nią miłość do książek, filmów i długich spacerów po lesie, który zaśmiewał się w głos z głupich kawałów i sam zawsze był gotów płatać figle, miałby naprawdę nie wrócić?

Nie zadała dotąd Ripowi właściwych pytań o Toma, nie zmusiła go do wyznania prawdy, ale wiedziała, że będzie musiała to zrobić. Może w czasie barbecue u Sally Jo nadarzy się okazja? Powinna tylko dokładnie przemyśleć, jak się do tego zabrać.

Po nocnym deszczu ranek wstał słoneczny, gorący i wilgotny. Anna poszła jak co dzień do pracy. Była w biurze zaledwie od godziny, gdy zadzwonił Rip. Chciał wybrać się z nią po zakupy, gdy już będzie wolna. Sprawdził, że w centrum handlowym odległym o godzinę jazdy sklepy są otwarte aż do dziesiątej wieczorem, będą więc mieli sporo czasu.

W świetle umowy, którą z nim zawarła, nie bardzo mogła odmówić.

Przez cały dzień była tak rozkojarzona, że nie przepracowała porządnie ani minuty.

Gdyby zwolniła się od razu po telefonie Ripa, wyszłoby właściwie na jedno. Dwie pozostałe urzędniczki z kancelarii sądowej drwiły z niej niemiłosiernie, bo bez przerwy wkładała akta w niewłaściwe miejsce i myliła się, przepisując dokumenty. Odetchnęła, gdy w końcu zabrał ją sprzed sądowego gmachu.

Przez długą chwilę jechali w całkowitym milczeniu. Anna była tak świadoma jego obecności, jakby oglądała go przez szkło powiększające – widziała ułożenie jego rąk na kierownicy, sposób siedzenia w fotelu, ba, widziała nawet, w którym kierunku rosną mu włosy nad czołem. Chcąc wrócić do normalnego sposobu odbierania świata, zdobyła się na wysiłek i zapytała w końcu:

- Może mi powiesz, cóż to za zakupy planujesz zrobić?
 - Ubrania i parę innych drobiazgów – odpowiedział z uśmiechem.
 - Jakie ubrania?
 - To już zależy od ciebie. Takie, jakie będą mi potrzebne.
 - Dzinsy? – zaproponowała niepewnie.
 - Dzinsów mi nie brakuje. W moim biurze nosiliśmy się swobodnie. Modnie, schludnie, ale na luzie. Dozwolone było wszystko oprócz garnituru z kamizelką i krawata.
 - Chyba jednak miałeś jakieś garnitury, które zakładałeś na spotkania z klientami albo oficjalne kolacje?
 - Tylko jeden, granatowy. Wziąłem pierwszy z brzegu, bo bardzo się spieszyłem.
- Sprzedawca dobrał mi krawat i koszulę.
- Zdałeś się na gust sprzedawcy?
 - Uznałem, że z zasady powinien znać się na tych sprawach lepiej ode mnie – uśmiechnął się skromnie.
 - Niekoniecznie – zaprotestowała z przekonaniem. Rip rzeczywiście miał na sobie dzinsy, tak wyblakłe, że prawie białe, a do nich białą koszulę, zapinaną na zatrzaski z macicy perłowej. Była szeroka w ramionach i zwężała się od piersi w dół, tak że idealnie przylegała do jego torsu. Śniady, wspaniale zbudowany, wyglądał dokładnie tak jak mężczyźni z okładek kolorowych magazynów. Byle jaka szmatka wyglądała na nim niczym stylowe ubranie.
- Ponieważ nie raczył skomentować jej słów, kontynuowała:
- Co będzie teraz, gdy sprzedałeś firmę? Chodzi mi o to, czy potrzebne ci będą jakieś określone stroje?
 - Chyba nie. – Podrapał się z namysłem po głowie. – Zamierzam pracować w domu, gdy się ostatecznie zainstaluje w jakimś miejscu i podłączę tam komputer. Mam parę pomysłów,

które chciałbym rozwinąć.

– Myślałam, że zarobiłeś tyle na sprzedaży firmy, że do końca życia możesz siedzieć z założonymi rękami.

– Człowiek zawsze powinien mieć jakieś zajęcie.

– To prawda. W tej sytuacji naprawdę jednak nie rozumiem, do czego jestem ci potrzebna.

– Pozwól więc, że ci przypomnę. Jutro idę na barbecue do prywatnego domu, a pojutrze mam uczestniczyć w oficjalnym obiedzie. Uznałem, że będę potrzebował jakichś ubrań.

Jakich, to już zależy od ciebie. Poza tym pomyślałem, że możemy rzucić okiem na tapety i farby do ścian.

To ostatnie zdanie miało zapewne za zadanie skierować rozmowę na inne tory, tak by nie zajmowali się już jego garderobą i planami na przyszłość. Anna ochoczo podchwyciła temat.

– Farby i tapety? Przecież takie rzeczy będą potrzebne w Blest dopiero za parę miesięcy.

– Dlaczego za parę miesięcy?

– Co najmniej.

– No a gdybym ci powiedział, że mam zamiar przerobić na mieszkanie jeden z budynków gospodarczych? Potem mógłby służyć za dom dla gości.

Obserwowała go przez chwilę uważnie.

– To ja bym ci odpowiedziała, że masz niebywale szerokie plany.

– Dziwi cię to?

– Może trochę Jego uśmiech przygasł, a usta zmieniły się w wąski sznurek.

– Rozumiem, plany są dziwne jak na kogoś o takim pochodzeniu, tak?

– Zupełnie nie to miałam na myśli – zaprzeczyła. – Muszę przyznać, że rzeczywiście są zaskakujące...

– ... skoro ich autorem jest łachmaniarz z drugiej strony rzeki.

– Ty to powiedziałaś, nie ja.

– Chciałem ci oszczędzić zakłopotania.

– Efekt jest wręcz przeciwny.

– W każdym razie wolałbym, żebyś wyrażała się bezpośrednio, a nie owijała słów w bawełnę.

– A ja bym wolała, żebyś zrobił w tył zwrot i odwiózł mnie do domu, jeżeli nadal zamierzasz być taki przyjemny – rozgniewała się. – Zrozum wreszcie, że to nie ja jestem odpowiedzialna za to, skąd pochodzisz, ani za to, co ci się w życiu przydarzyło, ani za to wreszcie, co zrobiłeś lub czego nie zrobiłeś, odkąd stąd wyjechałeś. I oświadczam, że nie wzbudzisz we mnie poczucia winy tylko dlatego, że...

– Przerwała nagle i zacisnęła usta. Minęło kilka sekund, zanim powiedziała nieoczekiwanie łamiącym się głosem: – Przepraszam.

Zapadła pełna napięcia cisza. W końcu jednak Rip zdobył się na to, by położyć dłoń na jej zaciśniętej pięści.

– Nie przepraszaj – westchnął – to moja wina. I mój problem. Chyba jestem przewrażliwiony, a ty nie masz powodu, żeby czuć się winną. Nigdy nie zrobiłaś niczego, o co sam bym cię nie prosił, choć muszę przyznać, że często życzyłem sobie, żebyś wykazała trochę inicjatywy.

Wytrzymała jego spojrzenie bez zmruczenia oka. Była w nim ironia, ale były też odwaga i szczerłość. Powiedział dokładnie to, co chciał powiedzieć, nie zważając na to, co ona o tym pomyśli.

– Rip... – zaczęła nieśmiało.

– Nie mów nic więcej – nie pozwolił jej dokończyć.

– Zapomnij o wszystkim, co wcześniej mówiłem i czym cię uraziłem i zacznijmy od nowa, zgoda? – Puścił jej dłoń i położył rękę z powrotem na kierownicy. – Jaka tapeta najlepiej nadawałaby się twoim zdaniem do budynku po dawnej szkole?

Anna posłusznie zaczęła się zastanawiać nad postawioną kwestią. Włożyła w to maksimum woli i koncentracji, jakby spodziewając się, że jej skóra zapomni o tym, jak przyjemny był dotyk dłoni Ripa.

– Może warto by sięgnąć po jakiś szkolny motyw? Bo ja wiem... książki, globusy? Nie, poczekaj... – ożywiła się.

– Widziałam nie tak dawno piękną tapetę z ciekawym wzorem. Przedstawiał starożytnych filozofów i zwoje rękopisów. Wpadł mi w oczy na wystawie sklepu z wyposażeniem wnętrz, najlepszego w okolicy. Problem w tym, że ten sklep pewnie będzie zamknięty, zanim tam dotrzemy.

– Nie szkodzi. Umówiłem się na wieczór z dekoratorem wnętrz, podobno najlepszym w okolicy. Możliwe, że to właściciel tego sklepu. Ma doświadczenie w rekonstrukcjach starych domów, sprzedaje antyki i kopie dawnych mebli. Zobaczymy, co nam zaproponuje. Wiem, że nie jadłaś lunchu, więc ustaliłem z nim, że gdy przyjedziemy, będzie na nas czekało jedzenie z restauracji. Do wyboru była kuchnia włoska albo chińska. Ponieważ nie wiedziałem, którą wolisz, miał zamówić jedną i drugą.

– Lubię obie – wymamrotała, pokrywając zaskoczenie wzruszeniem ramion. Doprawdy, powinna skończyć z tym niedocenianiem Johna Ripa Petersona. Skończyć, zanim naprawdę wpakuje się w kłopoty.

ROZDZIAŁ 6

Chodząc z Anną po sklepach, Rip miał wrażenie, że szybko weszła w nową rolę i nawet czerpie z niej przyjemność. Z rozkoszą pozwalał jej na to, a kiedy słyszał, jak Anna wylicza

sprzedawcy zalety jego sylwetki, które należałoby podkreślić odpowiednim strojem, jego szczęście nie miało granic.

Oczywiście, zakładając kolejne marynarki oraz spodnie i poddając się jej ocenie, czuł się jak buhaj-rekordzista na wystawie bydła. W duchu tłumaczył jednak sobie, że sam tego chciał i teraz musi mężnie znieść to przedstawienie. Aby skierować myśli w nieco inną stronę, zaczął się zastanawiać, jak też ona naprawdę go widzi i co czuje. I co musiałby zrobić, aby jej podejście nie było aż tak bezosobowe.

Zwariowany pomysł, żeby nie iść już więcej do przebieralni, tylko rozebrać się tu na jej oczach, nie dawał mu spokoju przez dobre parę minut. W pewnym momencie porozpinał nawet koszulę tak, że rozchyliła się aż do pasa, i jak gdyby nigdy nic zajął się rozpinaniem mankietów. Wiedział, że Anna to zauważyła, bo złapał jej spojrzenie. Zakłopotany wyraz jej twarzy i nagły rumieniec odebrały mu jednak ochotę do zabawy w modela i więcej już nie próbował takich gier.

Miała gust, to nie ulegało wątpliwości. Nie był tym zaskoczony, bo przecież z góry liczył na jej dobry smak, chociaż z poczuciem estetyki wcale nie było u niego tak źle, jak mówił. Okazało się, że Anna tak często wybiera rzeczy, na które sam też by się zdecydował, że w końcu przestał robić w myśli zakłady o to, co też się jej spodoba na tej czy tamtej półce, bo nie było w tym żadnych niespodzianek. Pod koniec zakupów miał już więcej ubrań niż przez całe swoje życie. Stał się posiadaczem urozmaiconej garderoby i był przygotowany na wszelkie okazje.

W sklepie wnątrzarskim oczekiwał ich właściciel z obstawą w postaci wypielegnowanej blondyneczki, która była jego asystentką. W ten sposób powstał mocno nierówny układ w stosunku do Ripa – dwoje na jednego – bo właściciel był gejem, natomiast asystentka panną do wzięcia. Obydwoje najwyraźniej mieli na niego chętkę. Rip był już gotów uznać ten

wieczór za całkowite nieporozumienie, gdy nagle zauważył, że Anna wygląda na niezbyt zadowoloną ze sposobu, w jaki pszenicznowłosa asystentka dotyka go swymi wymalowanymi karminem pazurami.

Wykorzystał moment, kiedy Anna zamyśliła się głęboko nad jakimś szczegółem, i przejął kontrolę nad sytuacją. Zanim ktokolwiek zorientował się, co się dzieje, on wybrał już kolory tapet i zasłon do sypialni oraz salonu. Zaraz potem odłożył katalogi i zestawy próbek, mówiąc, że najwyższy czas, by zjeść zamówioną kolację.

Potem, trzymając w dłoni kawałek nie dojedzonego ciastka, zostawił towarzystwo pogrążone w dyskusji na temat technik renowacji posadzek, i poszedł oglądać meble wystawione w tylnej części sklepu. Pozostali wkrótce przyszli w ślad za nim.

– Co sądzisz o tym łóżku? – zwrócił się do Anny, po części dlatego, że rzeczywiście ciekawiła go jej opinia, ale także dlatego, by odwrócić jej uwagę od antycznego łoża z mahoni, do przetransportowania którego potrzeba by co najmniej czterech osiłek. Poza tym wybitnie nie podobał mu się baldachim umieszczony nad tym monstrualnym gratem.

– To styl empire, wysokiej klasy imitacja – asystentka nie dopuściła nawet Anny do głosu. Podeszła do Ripa i ni mniej, ni więcej, tylko owinęła mu rękę wokół ramienia. – Proszę tylko zwrócić uwagę, że ten model pochodzi epoki napoleońskiej, a więc z okresu nieco wcześniejszego niż granica czasowa, którą chcieliśmy zachować, urządzając państwa dom – dokończyła, posyłając mu powłóczyście spojrzenie.

– Pójdzie do osobnego domu dla gości – odpowiedział krótko Rip. – Powiemy, że to łóżko prababci. A co ty o tym myślisz, kochanie, nada się? – Przywołał Annę gestem.

– Oczywiście, mój drogi – zaćwierkała, ujmując go za wolne ramię. – Muszę ci jednak przypomnieć, że na strychu w Blest jest już identyczny model, tyle że autentyczny.

Wyswobodził się nareszcie z uścisku blondyny i skupił całą uwagę na Annie.

– Naprawdę? To może zanim cokolwiek kupimy, obejrzymy dokładnie ten strych?

– Dobry pomysł.

Mógł ją pocałować, okazja doskonale się do tego nadawała, a w dodatku miał na to niesłychaną ochotę, szczególnie od momentu gdy jej udo otarło się o jego nogę i poczuł jaśminowy zapach jej perfum. Nie skorzystał jednak ze sposobności ani w sklepie, ani potem, w samochodzie. W drodze powrotnej Anna zdawała się zresztą lekko przestraszona – siedziała sztywno, jak najdalej od niego, a gdy zatrzymał się pod jej domem, wyskoczyła, jakby ją ktoś gonił. Wysiadł w ślad za nią, by się pożegnać.

– To co, spotykamy się jutro? – zapytał bardziej twierdzącym niż pytającym tonem.

– Jeżeli się wahasz, to bądź pewien, że potrafię *zrozumieć* twoje rozterki.

– Skąd wiesz o moich rozterkach?

– To oczywiste, że możesz czuć się niezręcznie przed spotkaniem ze starymi przyjaciółmi.

– Oni są twoimi starymi przyjaciółmi. Dla mnie zawsze byli tylko znajomymi.

– Jeszcze jeden powód, by trochę poczekać, zanim rzucisz się w wir życia towarzyskiego.

– Nie chcę czekać. Im wcześniej zacznę, tym lepiej. Zresztą zależy mi na tym, żeby jak najwięcej obracać się wśród ludzi.

– Nie możesz jednak oczekiwać, że będę poświęcać ci cały swój czas – powiedziała, patrząc na niego niezbyt radosnym wzrokiem.

– Zawarliśmy umowę – przypomniał jej spokojnie.

– Czego w takim razie jeszcze ode mnie oczekujesz? – Jej oczy błysnęły w mroku. – Staram się, jak mogę.

– Myślę, że przedstawiłem sytuację z wystarczającą jasnością. Jeżeli jednak chcesz, żebym ci przypomniał...

– Nie trzeba – przerwała mu szybko.

– To o co chodzi? Doszłaś do wniosku, że nie chcesz, żeby cię ludzie oglądali w moim towarzystwie?

– Nie bądź śmieszny!

– To nie jest śmieszne. Zdziwiłabyś się, ile znałem kobiet, które uważały, że pokazywać się ze mną publicznie to zupełnie inna sprawa niż spotykać się prywatnie. Albo odwrotnie.

– Ale ja to ja! Nie obchodzą mnie inne kobiety! Po prostu... po prostu nie chciałabym, żeby ktoś cię uraził – dokończyła ściszym głosem.

Już wcześniej powiedziała coś podobnego. Teraz, na myśl, że naprawdę mogą ją obchodzić jego odczucia, serce aż podskoczyło w nim z radości.

– Nie martw się. Jestem silniejszy niż wyglądam.

– Albo masz pancerz zamiast skóry.

– Możliwe – odparł, choć zdziwiła go ta uwaga. Anna próbowała być złośliwa, lecz on widział, że ta złośliwość jest wysilona. – Poczekaj – przemówił łagodnym tonem – co się z tobą dzieje? Czy chodzi ci o to, co się wydarzyło w sklepie?

– Jeżeli sobie wyobrażasz, że jestem zazdrosna o tę dziewczynę, która ocierała się o ciebie jak kotka w okresie godowym, to się mylisz.

– Wiem, że nie jesteś zazdrosna – powiedział, starannie ukrywając swój triumf pod maską obojętności. – Myślałem tylko, że może masz mi za złe, że powiedziałem do ciebie przy nich „kochanie”.

– Och, nie, przecież wiedziałam, że robisz to tylko na pokaz.

– Myślałem też – kontynuował – że może wpadłabyś w sobotę, żeby mi pomóc znaleźć to napoleońskie łóżko na strychu.

– Nie napoleońskie, tylko z epoki napoleońskiej – poprawiła go. – Napoleon nigdy w nim

nie spał.

– Ale ja mam taki zamiar. Jeżeli uda mi się je znaleźć. To co, przyjdiesz? – Popatrzył na nią, czekając na odpowiedź.

– Nie wiem, po co ci moja obecność, skoro nie będzie tam nikogo, kto mógłby zobaczyć nas razem.

– Masz mi pomóc w odnawianiu Blest, a ja akurat zamierzam zacząć od przygotowania swojej sypialni. Jasne?

– Dobrze, będę na miejscu w sobotę rano – zgodziła się bez entuzjazmu.

– W porządku. A teraz ustalmy, o której jutro mam po ciebie przyjechać.

– Sally Jo zapraszała na siódmą. Ale wcale nie musisz mnie zabierać, mogę sama...

– Przyjadę. Bądź gotowa kwadrans przed siódmą – powiedział rozkazująco. Przesadził trochę, ale chciał, żeby zrozumiała, że są partnerami w interesach.

Anna posłała mu spojrzenie pełne jadu, lecz nie przejął się nim zbytnio. Jej wściekłość mogła go tylko cieszyć, była bowiem znakiem kapitulacji. Pozwolił jej więc obrócić się na pięcie i wejść do domu. Poczekał jeszcze moment, do czasu gdy zobaczył, że zapaliła w środku światła, a potem odszedł do samochodu, trzymając ręce w kieszeni i cichutko pogwizdując.

– Pamiętam, Rip, że kiedyś całkiem nieźle grałeś w futbol. Szkoda, że nigdy nie udało ci się przejść na zawodowstwo. Miałeś szansę, żeby odnieść sukces i zarobić prawdziwe pieniądze.

Anna w milczeniu przysłuchiwała się temu, co mówił Kingsly Beecroft, przez znajomych zwany Kingiem. Mimo że użył stosunkowo niewinnych słów – same w sobie mogłyby nawet zostać uznane za dość pochlebne – wypowiedział je nieznośnym, protekcyjnym tonem, któremu towarzyszył uśmiech pełen wyższości. Wspomniał o sporcie dlatego, że przez

pewien czas zdarzyło mu się być członkiem drużyny futbolowej, która zaszła dość wysoko w krajowych rozgrywkach. Teraz zajmował ważne stanowisko w lokalnej przędzalni bawełny, co zapewniało mu spory prestiż, tym bardziej że pochodził z jednej ze starszych rodzin w Montrose. Wszystko to razem sprawiało, że jego zadowolenie z własnej osoby graniczyło z arogancją.

Gdyby Anna wiedziała, że parą przyjaciół zaproszoną przez Sally Jo będą właśnie King i Patty, nigdy nie przyszłyby na to barbecie, a już na pewno nie zabierałaby ze sobą Ripa. Kontrast między obydwoma mężczyznami był uderzający. King był łysiejącym panem o twarzy bez wyrazu, wystającym brzuszku i sflaczałych mięśniach. Ripowi upływ czasu zupełnie nie zaszkodził – był szczupły i gibki jak dawniej, a nieliczne zmarszczki uczyniły jego twarz jeszcze bardziej interesującą. Zadufanie Kinga podkreślało tylko spokojną pewność siebie, która emanowała z Ripa.

Anna pomyślała, że ich szkolny kolega zwyczajnie szuka zaczepki. Powiedział swoje i teraz siedział, uśmiechając się głupio w oczekiwaniu na reakcję Ripa.

Ten ostatni roześmiał się jednak tylko i powiedział:

– Sport nigdy nie był dla mnie specjalnie ważny. Wątpię, czybym długo wytrzymał.

Anna zastanawiała się, czy Rip wie, że King usiłował przejść na zawodowstwo, ale mu się to nie udało. Jeżeli tak, to należało mu pogratulować odpowiedzi – odciął się doskonale, zachowując przy tym pozory grzeczności.

King zrobił się czerwony jak burak. Widać było, że jeszcze chwila i popsuje całe przyjęcie, dlatego też uznała, że nadszedł czas, by pokierować rozmową. Spojrzała mu prosto w oczy i zapytała ciekawie:

– Prawdziwe pieniądze? Co przez to rozumiesz?

– Było wielu zawodników, którzy odeszli ze sportu z paroma milionami na koncie. –

King ledwie raczył popatrzeć w jej stronę, jakby miał pretensję o to, że kobieta włącza się do ściśle męskiej dyskusji.

– Chyba odkuśtykało, chciałeś powiedzieć – odparowała. – Wyobraź sobie, że Rip wyciągnął trochę więcej niż parę milionów ze swojej firmy w Kalifornii, a przy tym nie złamał ani palca u ręki.

King nie umiał ukryć zaskoczenia.

– Naprawdę? Zarobiłeś taką forszę? – zapytał z przejęciem.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym nie mówić o pieniądzach – odparł Rip, posyłając Annie stosowne spojrzenie. – Nie warto rozmawiać o takich rzeczach na przyjęciu.

Anna uznała, że warto zakończyć tę wymianę zdań i spróbowała zaproponować inny temat.

– Nie wiem jak wam, chłopcy, ale mnie się wydaje, że strasznie dużo czasu minęło, od kiedy chodziliśmy razem do szkoły – westchnęła.

– Niektórym ten czas musiał dłużyć się bardziej niż innym – mruknął King. – To zależy, jak go spędzali.

– Jeżeli o mnie mówisz – powiedział Rip – to masz rację. Sally Jo, drobna, energiczna kobietka, zerwała się ze swojego miejsca i usiadła obok Anny.

– Zaraz sprawdzę, czy mięso już gotowe – rzuciła nerwowo, po czym zwróciła się do męża: – Billy, nalej czegoś gościom, mają puste szklanki.

– Już się robi – podchwycił ochoczo Billy. – Rip, zrobić ci nowego drinka?

Rip podziękował, Anna zgodziła się tylko na dwie dodatkowe kostki lodu, za to King i

Party nie dali się długo prosić. Gospodarz z ulgą zajął się przygotowywaniem ich napojów.

Siedzieli na patio nowoczesnego domu Sally Jo i Billa. Posadzka była zrobiona z betonu

ponacinanego w taki sposób, by naśladował kostkę brukową. W wielkich donicach zieleniły

się rosnące bujnie rośliny, głównie paprocie i niecierpki. Gardenia w rogu wypełniała ciepłe powietrze wieczoru upojnym zapachem, który miał jednak potężnego rywala w postaci dymu unoszącego się znad skwierczących na grillu kiełbasek i żeberek. Kolorowa zastawa i serwetki doskonale prezentowały się na stole ze szklanym blatem, przy którym za chwilę mieli zasiąść. W miseczkach z włoskiej ceramiki stały perfumowane świece, mające chronić biesiadników przed komarami.

Znad położonego nieopodal jeziora wiał przyjemny wietrzyk. Dzięki niemu po upalnym dniu mieli choć trochę ochłody. Lustro wody marszczyło się lekko, odbijając promienie zachodzącego słońca.

Jeszcze nie tak dawno na tych terenach rozciągały się mokradła porośnięte rzęsą i wierzbami – do czasu gdy zainteresowali się nimi inwestorzy budowlani. Osuszyli, co się dało, pozostawiając tylko jezioro. Potem mogli dyktować wysokie ceny domów, bo przecież miały one widok na wodę. W ciągu około dziesięciu lat miasto zbliżyło się do tych okolic, tak że zupełnie zatraciły one swój pierwotny charakter. Miejsce dzikiej przyrody zajęła wypielegnowana, zamożna dzielnica, pozbawiona własnego charakteru i podobna do dziesiątek innych.

– Rip, słyszałam, że masz zamiar odrestaurować Blest – odezwała się po chwili milczenia Patty Beecroft, mieszając lód w szklance, by ochłodzić nową porcję napoju. – To nie lada zadanie dla samotnego mężczyzny.

– Właśnie dlatego wezwałem na pomoc eksperta – odparł i uśmiechnął się do Anny.

– Aaa, rozumiem. To już brzmi rozsądniej.

– Zdaje się, że przydadzą ci się te twoje dolary – stwierdził cierpko King. – Przy okazji, jak je zarobiłeś? Na piractwie komputerowym albo czymś w tym stylu?

– King! – żona próbowała przywołać go do porządku.

– Spokojnie, nie kłóćcie się – wtrącił Billy, który stał przy przenośnym minibarku i przygotowywał właśnie whisky z wodą sodową dla Kinga. Patrząc na tego wysokiego chudzielca o kościstych kolanach odsłoniętych przez bermudy, i na jego twarz, która zawsze miała trochę przestraszony wyraz, Anna pomyślała po raz setny, że tworzą oni z Sally Jo przedziwną parę.

Obelżywe pytanie Kinga wskazywało, że wie doskonale, jaka dziedzina była źródłem sukcesu Ripa. Wskazywało także inną rzecz – że szykuje się on do rozprawy na pięści. Potwierdzała to również charakterystyczna sztywność ramion i wyzywające spojrzenia, jakie King raz po raz kierował w stronę Ripa.

– Jeżeli przeszkadza ci moja obecność – odezwał się spokojnie ten ostatni – po prostu mi to powiedz. Nie musimy się męczyć i silić na aluzje.

– Przeszkadza mi, i to nie tylko tutaj, ale nawet gdybyś był sto kilometrów stąd – wysyczał King z wojowniczą miną. – Tom był moim przyjacielem.

– Moim też.

– Ale zniknął właśnie przez ciebie.

– Zniknął – przyznał śmiało Rip. – Oto zagadka, prawda? Nikt nie wie, dokąd poszedł i dlaczego.

– Ja wiem, kto za tym stał.

– King! – znów upomniała go Party, zaczerwieniona ze zdenerwowania i wstydu.

– W takim razie wiesz więcej niż ja – uśmiechnął się Rip. – Zastanawiam się tylko, dlaczego go wtedy nie zatrzymałeś. Dlaczego mu nie pomogłeś, kiedy wpakował się w narkotyki...

– Nikt nie mógł mu pomóc – uciął King.

– otóż to. A jeśli chodzi o mnie, to odsiedziałem swoje i teraz zamierzam zacząć

wszystko od nowa, właśnie tutaj. Oczywiście jeżeli pozwolą mi na to mieszkańcy Montrose.

– Już raz zacząłeś od nowa, w Kalifornii. Trzeba było tam zostać.

– Niby dlaczego? Tutaj są moje rodzinne strony i tutaj zamierzam spędzić resztę życia, czy ci się to podoba, czy nie.

W tym momencie nadeszła Sally Jo. Jej ciemne włosy były nienaturalnie wzburzone, a minę miała taką, jakby zamierzała zaraz się rozpłakać.

– Kolacja gotowa – oznajmiła, niepewnie patrząc to na Ripa, to na Kinga.

Przez moment wydawało się, że ten ostatni odmówi dzielenia z Ripem posiłku, ale w końcu wstał, podszedł do Patty i pomógł jej podnieść się z fotela. Widząc to, Anna również wstała, wzięła Ripa pod ramię i wszyscy zaczęli się sadzić przy bogato zastawionym stole. Już dawno Anna nie przeżyła tak męczącego wieczoru. Zjadła zaledwie kawałek mięsa, zmusiła się do posmakowania fasoli w sosie z melasy, spróbowała po łyżce sałatki ziemniaczanej oraz majonezowej sałatki z kapustą, cebulą i marchewką, choć ta ostatnia była przyrządzona bardzo oryginalnie, bo z dodatkiem maku. Porcję pysznego brzoskwińowego sorbetu zostawiła prawie nieruszoną. Ponieważ Sally Jo robiła wszystko, by konwersacja przy stole nie zamarła, Anna skoncentrowała się na tym, by jej pomóc. Półgłosem wyjaśniała Ripowi, o kim mowa i do jakich wydarzeń z życia Montrose odnoszą się czynione przez poszczególne osoby aluzje.

W pewnej chwili Sally Jo zniknęła na chwilę, po czym wróciła z uśmiechem, niosąc piłkę do futbolu. Piłka była poobdrapywana ze wszystkich stron – widać właściciel jej nie oszczędzał. Okazało się, że syn Sally Jo i Billy’ego gra w drużynie juniorów, która rozegrała właśnie zwycięski mecz. Żeby to uczcić, babcia zabrała go razem z siostrą na hamburgera do ich ulubionej restauracji w mieście.

– Ty nigdy nie byłeś w juniorach, co? – King po raz pierwszy, odkąd siedzieli przy stole,

zwrócił się do Ripa.

– Nie mogłem sobie na to pozwolić – odparł ten, odsuwając na bok prawie nietknięty sorbet.

– Myślałem, że stary Toma sprezentował ci strój. Rip westchnął i spojrzał ciężko na Kinga.

– Wiesz przecież, jak było. Mój ojciec kazał mi go odnieść z powrotem. Nie chciał, żeby ludzie dawali nam prezenty z litości.

– Ale jakoś mógł wydawać każdy grosz na whisky? Tym razem Anna nie wytrzymała.

– King, co cię ugryzło? – zapytała ostrym tonem. – Co chcesz nam udowodnić?

– Nic... Chyba tylko to, że ja na pewno nie podlizywałem się nikomu w zamian za kilka nic niewartych bohomazów na ścianach i starą chałupę w połowie zżartą przez szczury. Żeby zostać zaakceptowanym w tym mieście, potrzebne jest coś więcej niż worek pełen pieniędzy.

– W takim razie może mi powiesz, co dokładnie jest do tego potrzebne? – wysyczała Anna. – Brak dobrego wychowania i wysokie mniemanie o sobie? Całkowite nieliczenie się z uczuciami innych, włączając w to gospodarzy tego domu? Kim ty właściwie jesteś? Kto ci dał prawo przemawiać tu w imieniu całego miasta?

– Na pewno nie jestem kimś, kto sypia z kryminalistą! Rip skoczył na równe nogi. Rzucił na stół serwetkę, oparł się dłońmi o blat i nachylił się w stronę przeciwnika.

– A teraz posłuchaj, King – wycedził – bo nie mam zamiaru mówić tego dwa razy.

Możesz pleść, co ci się podoba na mój temat, to splywa po mnie jak po kaczce. Dostyc się nasłuchałem obelg ze strony konkurentów i złośliwych dziennikarzy. Powiedz jednak jeszcze słowo o damie, która mi towarzyszy, a będziesz zbierał swoje zęby z podłogi. Zrozumiano?

King oblizwał wargi i mimowolnie przeciągnął językiem po zębach. Rozejrzał się dookoła.

W końcu kiwnął sztywno głową.

– Przepraszam – Rip zwrócił się ku Sally Jo. – Bardzo mi przykro, że popsulem wasze przyjęcie. Naprawdę nie przypuszczałem, że tak się stanie. Mam nadzieję, że wynagrodzę to wam, kiedy Blest będzie gotowe na przyjęcie gości. Już dziś serdecznie zapraszam do siebie.

– To nam jest przykro, że obrażono cię w naszym domu – powiedziała Sally Jo, rzucając szybkie spojrzenie na męża.

– Prawda, Billy?

– Tak, bardzo – wymamrotał tenże, wyraźnie niezadowolony, że został wciągnięty w tę awanturę.

– Trudno – Rip wyprostował się – to nie wasza wina.

Obrócił się w stronę Anny, która już wstała i tylko czekała na znak do odmarszu. Była dla niego pełna podziwu za samokontrolę i poczucie godności. Nie miała pojęcia, gdzie się tego nauczył, w każdym razie pozostali mężczyźni w porównaniu z nim wydawali się bez charakteru.

Sally Jo odprowadziła ich aż do samochodu.

– Proszę – zwróciła się do Ripa, kładąc mu dłoń na ramieniu – nie pomyśl tylko, że wszyscy ludzie w Montrose są podobni do Kinga, bo nie są. Nie miałam pojęcia, że on zacznie... Cóż, nie ma co nad tym się rozwodzić. W każdym razie powiem wszystkim, że jesteś uroczym człowiekiem i że powinni zapomnieć o przeszłości.

– Nie mógłbym prosić o więcej – odparł ze smutnym uśmiechem, po czym odwrócił się, by otworzyć Annie drzwi do auta.

Opadła na fotel z ciężkim westchnieniem.

– Chyba niezbyt dobrze to wymyśliłam – odezwała się, gdy usiadł obok niej i ruszył.

– Tylko nie zaczynaj znowu przeproszać. King zawsze był nieznośny, a teraz stał się całkiem nie do wytrzymania.

– Gdybym wiedziała, że to on i Patty są tą drugą parą...

– Daj już spokój. Zapomnij o tym, proszę.

Z ulgą zastosowała się do jego prośby i spokojnie jechali dalej. Rip brał ostrożnie kolejne zakręty na wąskiej drodze, która biegła wzdłuż jeziora. W pewnej chwili niespodziewanie zwolnił i skręcił w bok. Wkrótce znaleźli się na parkingu przy przystani. Pustą przestrzeń oświetlało zaledwie kilka jarzeniowych latarni. Ich światło nie sięgało aż do jeziora, lecz jego tafla lśniła mimo to, rozjaśniona blaskiem księżyca.

Rip wysiadł z samochodu i wszedł na pomost. Po chwili Anna zdecydowała się zrobić to samo. Nie zareagował, gdy się zbliżyła, tylko nadal stał z rękami w kieszeniach, zamyślony i wpatrzony w wodę.

– Dawniej brzeg był tutaj zupełnie niezagospodarowany – powiedział wreszcie.

– Mhm – potwierdziła. – Dopiero jakieś pięć lat temu pogłębili jezioro i zbudowali tę przystań.

– Szkoda.

– A tam zrobili plażę. – Pokazała w kierunku kawałka brzegu wysypanego piaskiem.

Rip nie od razu odpowiedział. Dopiero po chwili odezwał się:

– Chciałem ci podziękować, że wstawiłaś się za mną.

Wzruszyła tylko ramionami, on zaś mówił dalej:

– Tom też tak robił. Nieraz oberwał za to, że trzymał moją stronę. Raz zwichnąłem sobie nogę, a on przydźwigał mnie do waszego domu na plecach. Strasznie się zmachał, byłem przecież większy od niego.

– Wiem – powiedziała. Przypomniła sobie przerażenie, jakie wywołał w niej wtedy widok Ripa. Myślała, że umarł, bo miał zamknięte oczy i był trupio blady. – Ale ty też nie pozostawałeś mu dłużny. Kiedyś stanąłeś w obronie nas obydwójga, gdy napadli nas

chuligani i chcieli zabrać pieniądze na obiad.

– Pamiętam. Najpierw rzucili się na Toma, a wtedy ty skoczyłaś mu na pomoc. Nie mogłem przecież pozwolić, żeby cię pobili.

Rip wyszedł z tej potyczki ze złamanym zębem, Tom przez dwa tygodnie miał podbite oko, ona zaś dumnie obnosiła się z pękniętą wargą. Pieniądzy napastnikom nie oddali.

– Za karę przez miesiąc nie mogłam wychodzić z domu po lekcjach, bo mama powiedziała, że dziewczynki nie powinny mieszać się do bójek. Nauczyło mnie to jednego: dziewczynki nie powinny dać po sobie poznać, że się biły.

Zaśmiał się, ale jakoś boleśnie.

– Za każdym razem, jak narozrabialiśmy, przychodziliśmy nad jezioro, żeby się trochę umyć, zanim zobaczą nas wasi rodzice.

– Rzeczywiście, między innymi po to – powiedziała, przypominając sobie ich szczeniackie zabawy w wodzie, całkowicie beztroskie do czasu, gdy stała się dorastającą panną. Wtedy nagle uświadomiła sobie, że istnieją jednak pewne różnice między nią a Ripem i Tomem.

– Myślisz o naszych zawodach pływackich? – zapytał. – Wstydzilem się, że nie mam porządnych kąpielówek.

– E, tam. Wiesz, jak stylowo wyglądałeś w tych swoich szortach z dzinsów obciętych nożem? – Posłała mu rozbawione spojrzenie.

– Za to tobie zdarzało się kąpać na golasa, gdy myślałaś, że nikogo nie ma w pobliżu – powiedział, odwracając twarz w drugą stronę, ale i tak widziała kącik jego ust uniesiony w uśmiechu.

– No proszę! Podglądałeś mnie?

– Podglądałem tak długo, jak się dało, a potem stałem na straży, żeby nikt inny nie mógł

skorzystać z tego przywileju.

– Nie wierzę – roześmiała się, poprawiając jednocześnie włosy, które wzburzył podmuch wiatru.

– Tak? To skąd wiem o tym pieprzyku, o, tutaj? – Niespodziewanie dotknął palcem miejsca pod jej prawą piersią, gdzie rzeczywiście miała od urodzenia niewielkie znamię. – Mam dobrą pamięć, nie pamiętasz? – dodał, zanim cofnął rękę i wsadził ją do kieszeni. – Nie rozumiem tylko, dlaczego tak się dziwisz. Przecież robiłaś to samo.

Rzeczywiście. Wystarczyło, że zamknęła oczy, by przywołać tamte wspomnienia z całą wyrazistością. Słońce oświetlało jego ciemną głowę i silne ramiona, gdy w równym, zdecydowanym rytmie przecinał jezioro. Potem zaś, ociekając wodą, wychodził na brzeg, a ona myślała, że jest piękny jak antyczni bogowie, o których uczyła się w szkole. Patrząc na niego, mówiła sobie, że tak właśnie powinien wyglądać mężczyzna.

Wtedy był chłopcem, teraz na pewno jest silniejszy i bardziej muskularny. Twardszy, potężniejszy...

Z wysiłkiem zapanowała nad swoimi myślami. Przekrzywiła głowę i powiedziała lekkim tonem:

– A więc przez cały czas wiedziałeś o tym i nie zdradziłeś się ani słowem. Jakim cudem możesz mnie jeszcze nazywać damą?

– No cóż. Zachowywałaś się dosyć dyskretnie.

– Aaa, czyli bycie damą polega na tym, że załatwia się te sprawy po cichu? – znów się roześmiała.

– Tak mi się wtedy wydawało. Uważałem zresztą, że to samo odnosi się do dżentelmenów – powiedział, szczerząc do niej zęby. Wszelkie napięcie znikło z jego twarzy, po głosie też słychać było, że się rozluźnił.

Anna z ulgą pomyślała, że przestał już rozpamiętywać okropny wieczór, który mieli za sobą. Postanowiła trzymać się jak najdalej od tematów, które mogłyby mu o nim przypomnieć.

– Moja matka na pewno by się z tobą nie zgodziła – powiedziała. – Usłyszała raz, jak Tom droczył się ze mną właśnie na temat podglądania ciebie. Przez dwa dni miałam zakaz opuszczania swojego pokoju, a gadania było na miesiąc.

– A więc to ona wybiła ci to z głowy. A ja nie mogłem zrozumieć, dlaczego przestałaś to robić...

– Rzeczywiście uwierzyłam, że to coś bardzo zdroźnego.

– Bądźmy uczciwi – trochę racji miała.

– Miała, miała. Co nie znaczy, że działania mojej matki były skuteczne...

– To znaczy?

– Och, byłam bardzo przekorna. Niewykluczone, że to ona sprawiła, iż od tamtego czasu nic tak nie działa na moją wyobraźnię, jak widok nagiego mężczyzny ociekającego wodą – odparła żartobliwym tonem.

Rip zaśmiał się głębokim, stłumionym śmiechem.

– Domyślasz się zatem, dlaczego odczuwam w tej chwili nieodpartą potrzebę pływania? – zapytał, patrząc na nią ze znaczącym półuśmiechem.

– Niezupełnie.

– Teraz jesteśmy już dorośli, Anno. Nikt nam nie może niczego zabronić – powiedział wesoło, ale w jego głosie było wyzwanie i namowa.

Przechyliła głowę, przyglądając mu się uważnie.

– Nikt nam nie może zabronić popływać?

– Na przykład.

– I podglądać się nawzajem?

– Chociażby.

– Nie mówisz poważnie.

– Dlaczego nie?

– To szaleństwo.

– No to oszalej dla odmiany.

– My nie... nie możemy – protestowała coraz słabiej.

– Dlaczego nie? – zapytał jeszcze raz.

Pokusa była olbrzymia. Jej skóra zapragnęła nagle dotyku wody, nagrzanej po całym dniu słońcem. Na samą myśl o kąpieli jej serce zaczęło bić w innym, szybszym rytmie. Ścisnęła ją też jakaś przedziwna tęsknota. Zanurzenie się w jeziorze byłoby jak powrót do przeszłości, do lepszych, piękniejszych czasów, kiedy tego stojącego obok mężczyznę darzyła równie głębokim i szczerym uczuciem, jak brata. Wtedy myślała, że pozostanie ono na zawsze częścią jej życia i nigdy się nie zmieni.

A może się nie zmieniło?

Rip widział, że na twarzy Anny niezdecydowanie miesza się z ochotą. Wyglądała tak pociągająco w świetle księżyca, które podkreślało jej wyraźnie zaznaczone kości policzkowe i dodawało tajemniczości spojrzeniu... Tak bardzo, wręcz boleśnie chciał przeżyć z nią tę chwilę szaleństwa.

Nie chodziło mu o to, żeby zobaczyć ją nagą czy nawet wciągnąć w jakieś śmielsze zabawy, choć nie miałby nic przeciwko temu. Najbardziej pragnął, by zapomniała o tych wszystkich sztywnych zasadach, które ją krępowały, by pozbyła się hamulców, przestała być grzeczną dziewczynką i w wodnym żywiole połączyła się z nim – człowiekiem żyjącym po drugiej stronie granicy wyznaczonej przez konwenanse i schematy.

Chciał, żeby wybierając go, wniosła się ponad przyzwyczajenia swojego środowiska, odrzuciła ciasny sposób myślenia właściwy osobom takim jak jej matka czy King Beecroft. Próbował nawet znaleźć jakieś argumenty, które by ją przekonały, ale tylko jeden przyszedł mu do głowy.

– Nie dotknę cię, przyrzekam.

Zatrzepotała rzęsami, ale nic nie powiedziała. Wciąż jeszcze nie była przekonana.

Wreszcie powoli, lecz zdecydowanie podniosła rękę, by rozpiąć swą zapinaną z tyłu sukienkę.

Tkanina z przodu rozsunęła się, ukazując gładką, jasną skórę. Rip widział teraz znacznie większy kawałek dekoltu niż ten, który oglądał przez cały wieczór i który mimo to sprawiał, że raz po raz musiał odganiać zbyt śmiałe myśli.

Rozejrzał się dokoła, po czym ruszył w kierunku pasa piaszczystej plaży, nad którą wznosiło się kilka drzew. Nie uważał, żeby to było konieczne, ale nie chciał krępować Anny ani robić niczego, co wskazywałoby, że działa wbrew złożonemu przed chwilą przyrzeczeniu.

Błyskawicznie ściągnął ubranie, starając się nie zwracać przodem do Anny, choć kątem oka widział kuszące krągłości jej ciała. Kilkoma susami dopadł do brzegu i zanurkował, chcąc dać Annie czas na swobodne zanurzenie się w jeziorze.

Woda, choć ciepła, ochłodziła jego rozpaloną skórę. Kontakt z nią wyzwolił w jego pamięci obrazy z okresu, gdy przychodzili w te okolice razem z Tomem. Jakież to był żywy, pełen fantazji chłopak! Miewał zupełnie zwariowane pomysły, a jednocześnie był wrażliwy i inteligentny. Dzielili się wszystkim, nawet ubraniami i gumą do żucia. Jeden uważał drugiego za brata, tyle że o innym nazwisku. Czasami przychodziły jednak momenty, w których Kip pragnął ze wszystkich sił, by okazało się, że Tom jest jego prawdziwym bratem – Anna zaś siostrą.

W tej ostatniej sprawie zmienił jednak zdanie już jakiś czas przed tamtą feralną nocą.

Wynurzył się z głośnym prychnięciem, położył na plecach i odwrócił głowę w stronę brzegu. Anna wchodziła dopiero do wody, całkowicie nieświadoma faktu, że robi to z niesłychaną gracją. Blask księżyca nadał jej skórze kolor marmuru, tak że wyglądała, jakby była rzeźbą, którą nagle ktoś ożywił. Piersi miała kształtne, niewielkie, ale proporcjonalne w stosunku do bioder. Jej brzuch był płaski, uda smukłe. Między udami a brzuchem rysował się jasny, złocisty trójkąt.

Obiecał, że jej nie dotknie, ale nie obiecał, że nie będzie patrzył.

Jeszcze raz zanurkował, a gdy wypłynął na powierzchnię, Anna zbliżała się już do niego.

Poruszała się bezgłośnie, tak jakby cząsteczki jej ciała złączyły się w jedno z taflą wody.

Zawładnęła nim nagła chęć posiadania jej tutaj, natychmiast. To przemożne uczucie zapierało mu dech w piersiach, sprawiało, że krew odpływała mu z głowy i pulsując, skupiała się w dole brzucha. Musiał się opanować, pokonać swe pragnienia.

To Anna powinna przyjść do niego, tylko w ten sposób cokolwiek może się zdarzyć między nimi.

Powinna. Teraz albo nigdy.

Jeszcze tylko kilka razy machnie ramionami i będzie tu, obok...

Zatrzymała się co najmniej dwa metry od niego. Uśmiechała się jakoś niepewnie, nieśmiało.

Rip obrał kierunek na środek jeziora i ruszył spokojnym crawllem. Sekundę później Anna zrobiła to samo i zrównała się z nim. Płynęli obok siebie, posuwając się do przodu w tym samym rytmie. Woda tak samo obmywała ich ciała, drażniła piersi, stawiała opór. Gdy się zmęczyli, położyli się na plecach, łapiąc szybko powietrze. Nocny wiaterek owiewał ich przyjemnie, ale w końcu zrobiło im się chłodno i by się rozgrzać, znowu zaczęli płynąć, przed siebie, w stronę księżyca.

Księżyc jednak zdawał coraz bardziej się oddalać, tak że go nie dosięgli. Zdyszani, zawrócili do brzegu. Wyszli z wody, nie mówiąc nic ani nie patrząc na siebie. Wysuszyli się jak mogli, każde z osobna, po czym włożyli ubrania na wilgotną skórę.

Rip stał przez chwilę, patrząc gdzieś w dal. Chciał dać Annie czas, by mogła spokojnie się ogarnąć. Myślał o tym, że źle zrobił, rzucając hasło do tej nocnej kąpieli. Owszem, było pięknie, ale to wszystko zupełnie niczego nie dało.

Czegoś takiego już by nie powtórzył. Po co podsycać pragnienia, które i tak są podsycone do niemożliwości, po co igrać z ogniem? Stawka w tej grze jest zbyt duża, żeby pozwalać sobie na takie wybryki, choćby najprzyjemniejsze.

Szelest, który go doszedł, oznaczał, że Anna jest gotowa. Chciał ją ująć za ramię, żeby być blisko, na wypadek gdyby potknęła się w ciemnościach, ale ona zrobiła unik.

Natychmiast opuścił rękę i zacisnął ją w pięść.

ROZDZIAŁ 7

Następnego dnia rano Anna nie wspomniała matce ani słowem o barbecue u Sally Jo, ani tym bardziej o nocnym pływaniu. Nie zwierzyła się jej również ze swoich planów dotyczących obiadu w klubie, choć miała pewność, że nie minie kilka godzin, a całe miasto będzie trąbiło o niej i o Ripie. Woliała trzymać matkę w nieświadomości, aby ta nie próbowała zabronić jej uczestniczenia w obiedzie czy, co gorsza, przeszkodzić w wyjściu. Jedno było pewne: i tak nie obejdzie się bez wyrzekań i zrzędzenia. Lepiej wysłuchać ich tylko raz, gdy już będzie po wszystkim, a nie przed i po.

Bardzo smucił ją fakt, że z matką niemożliwa jest rzeczowa, spokojna dyskusja. Matylda cierpiała jak potępieniec, lecz jednocześnie nie chciała przyjąć znikąd pomocy. Anna wiedziała, że nie ma w tym jej winy, jednakże to racjonalne tłumaczenie wcale jej nie pocieszało.

Obiad miał się odbyć w zwykłym miejscu, to znaczy w zarezerwowanej przez klub sali restauracyjnej. Organizatorom zależało na nieformalnym charakterze spotkania, dlatego zaplanowano bufet – każdy miał obsługiwać się sam. Było to szczególnie na rękę osobom, które z góry wiedziały, że będą musiały się spóźnić, a przypadek ten dotyczył wielu członków klubu. Prowadzili oni własne firmy i mogli wyjść dopiero wtedy, kiedy wiedzieli, że naprawdę nikt ich nie będzie poszukiwał.

Anna nie zauważyła u Ripa ani śladu zdenerwowania. Jeżeli w ogóle je odczuwał, to potrafił dobrze się maskować. Gdy spotkali się pod restauracją, przywitał ją szerokim uśmiechem i obdarzył komplementem na temat kostiumu z zielonego lnu, który założyła na tę okazję. Po wejściu do środka zdawał się promieniować pewnością siebie, zachowywał się serdecznie i ani przez chwilę nie był sztywny lub przesadnie wylewny. Pozwolił jej przewodzić, bo była na swoim terenie, ale szedł za nią z taką godnością, że wszędzie, gdzie się pojawili, ludzie odwracali głowy i szeptali między sobą.

Wyobrażała sobie, że poza nią Rip nie spotka żadnych znajomych, tymczasem myliła się. Prezes największego banku w mieście rzucił się na jego powitanie i serdecznie uściskał mu dłoń. Po namyśle doszła do wniosku, że to logiczne – przyjeżdżając do Montrose, Rip zdeponował zapewne u niego jakąś okrągłą sumkę, nie mówiąc już o tym, że musiał tam bywać wielokrotnie, kiedy kupował Blest. Prawnik, który najwyraźniej obsługiwał całą transakcję, również zdawał się ucieszony jego widokiem, podobnie jak agent nieruchomości. Popularność Ripa wcale się jednak na tym nie kończyła. Właściciel tartaku sam się dopraszał, by go poznać, nadskakiwał mu też przedstawiciel firmy ubezpieczeniowej. Ktoś mu powiedział, że pan John Peterson zamierza przeprowadzić renowację swej nowej posiadłości, chciał więc polecić korzystną polisę, która zabezpieczyłaby go na czas robót. Nawet starsza pani odpowiedzialna za organizację festiwalu sztuki usilnie starała się

podyskutować z Ripem, tyle że jego bliskość tak na nią działała, że nie potrafiła jasno wytłumaczyć, o co jej chodzi.

Anna uśmiechała się uprzejmie do wszystkich, ale nie umiała włączyć się w żadną z tych rozmów. Przychodząc na to spotkanie z Ripem, miała nadzieję, że będzie chociaż w części tak opanowana, jak zwykle. Nic z tego. Za każdym razem, gdy na niego patrzyła, przypominała sobie jego nagość, tam, na brzegu jeziora. Na zmianę robiło się jej to zimno, to gorąco. Z trudem odpowiadała na pytania, które jej zadawano, i nie była wcale pewna, czy nie powtarza w kółko tego samego. Coś jadła, ale nie wiedziała co.

Mówiła sobie, że wszystkiemu jest winien pustelniczy tryb życia, jaki prowadziła przez ostatnie lata. Tak dawno nie kochała się z mężczyzną, że oto wystarczyło światło księżyca oraz bliskość osobnika o wysokim poziomie testosteronu, żeby rozpętała się w niej prawdziwa burza hormonalna. Pocieszała się, że choć ciągle jeszcze jest wytraconą z równowagi po tej nawałnicy, to wkrótce się uspokoi. Trzeba tylko, żeby zdobyła się na trochę dyscypliny wewnętrznej i trzymała jak najdalej od źródła owych perturbacji – co też zrobi natychmiast po opuszczeniu tego miejsca.

Z ulgą powitała moment, gdy uprzątnięto resztki bufetu i zaczęła się druga część spotkania. Zwyczajowe przemówienia potrwały chwilę, po czym członkowie zostali poproszeni o przedstawienie swoich gości. Ponieważ i tak wszyscy już wiedzieli, kto siedzi na sali, uwaga zebranych skupiła się na niej – umierali z ciekawości, co też ma do powiedzenia na temat Ripa.

Mówiła krótko i zwięźle. Prześliznęła się nad drażliwymi epizodami jego życiorysu, w kilku słowach wspomniała o firmie, którą prowadził w Kalifornii, po czym skupiła się na jego planach dotyczących Blest, a także kulturalnych i finansowych zyskach, jakie całe Montrose mogłoby z nich wyciągnąć. Prezentację skwitowano prawie że entuzjastycznymi brawami.

Wtedy przyszła kolej na Ripa, który wstał i podziękował Annie za zaproszenie, a klubowi za serdeczne przyjęcie. Powiedział jeszcze, jak bardzo się cieszy, że znowu jest w domu, po czym usiadł z powrotem. Kiedy sięgnął po szklankę z wodą, tylko Anna widziała, że ledwie może ją utrzymać, tak mu zeszywniała ręka.

Po zakończeniu spotkania jako pierwsza podeszła do nich Carrie DeBlanc, która nieopodal sądu prowadziła sklep, będący w połowie delikatesami, a w połowie galerią z upominkami. Carrie była wysoka i dobrze zbudowana, miała błękitne oczy, krótkie włosy w kolorze blond, a na jej ruchliwej twarzy zawsze gościł uśmiech. Mówiła ochryplym, zdartym głosem, śmiała się często i zaraźliwie, a nie było tematu, z którego nie potrafiłaby zażartować. Poza tym Carrie cieszyła się sławą wyśmienitej kucharki i eksperta w sprawach wytwornej kuchni.

– Pozwól, John, że uścisknę twoją dłoń – powiedziała bezceremonialnie. – Nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek się spotkali, ale muszę ci wyznać, że zajmujesz wysokie miejsce na liście moich ulubionych postaci. W dodatku ciągle idziesz do góry. Teraz, kiedy widzę, jaki z ciebie przystojniak, wstawię cię chyba na pierwsze miejsce, słoneczko.

– Czuję się zaszczycony – odpowiedział z ukłonem Rip.

– I powinieneś, powinieneś. Ja co prawda flirtuję ze wszystkim, co ma spodnie, ale ostrzegam: nie wszystko zabieram do domu. Ty jednak, o panie, podbiłeś me serce. Czy pozwolisz, że będę prać ci skarpetki, prasować koszule i rodzić twoje dzieci? Na to ostatnie może już trochę późno, ale nie ścierpiałabym, żeby ludzie mówili, że Carrie DeBlanc zwiędła przed czasem i nawet ciąży nie jest w stanie...

– A cóż on zrobił, żeby zasłużyć na takie względy? – spytała Anna, chwytając Carrie za nadgarstek.

– Nie przerywaj mi, koteczku, jeszcze nie powiedziałam najlepszego.

– Ostrożnie, Carrie, bo Rip nie wie, że żartujesz. Carrie posłała mu filuterne spojrzenie.

– Naprawdę myślisz, że on potraktuje mnie serio, weźmie do haremu, a potem posiędzie z dziką pasją? Tak? No to dlaczego niby mam być ostrożna? Dziewczyno, przecież ja w życiu nic innego nie robię, tylko szukam takich niebezpieczeństw!

– W życiu to ty nic innego nie robisz, tylko mówisz takie rzeczy, że każdy mężczyzna musi się zarumienić – poinformowała ją Anna. – No, a teraz powiedz, dlaczego tak się podlizujesz.

– Zgoda, ale pod warunkiem, że przy najbliższej okazji przyprowadzisz do mnie na kolację ten wspaniały egzemplarz męskiej urody.

– Masz to jak w banku. A teraz słucham.

– Otóż John rozłożył podobno Kinga Beecrofta na łopatki. Nie mogę odżałować, że mnie przy tym nie było! Chociaż już sama świadomość tego tak mnie cieszy, że...

– Skąd o tym wiesz? – zainteresowała się Anna. Na pytający wzrok Ripa odpowiedziała nieznacznym wzruszeniem ramion.

– Hm, skąd ja o tym wiem? – Carrie podrapała się po czole, udając głęboki namysł. –

Dowiedziałam się od Beth Annę, która dowiedziała się w banku od kasjera, który przed pracą poszedł do fryzjera ostrzyć sobie włosy. Matka Sally Jo czesze się w każdy piątek rano u tego fryzjera. Chyba że kasjer coś pomylił i to była siostra Sally Jo, która robiła sobie trwałą. A jak nie siostra, to pewnie...

– Już rozumiem – rzuciła pośpiesznie Anna. – Nie wiem tylko, co ciebie tak w tym wszystkim podnieca.

– To pozwól, że ci wytłumaczę, kwiatuszku – gaduła zniżyła głos i rozejrzała się dookoła, jakby spodziewała się, że między zacnych członków klubu mógł się wkręcić jakiś szpieg.

Następnie, podszedłszy bliżej do Anny i Ripa, zaczęła swą opowieść: – A więc było to tak:

King przychodzi do mnie do sklepu, żeby zamówić prezent urodzinowy dla Patty.

Zaznaczam, że nie chodzi mu o wisiołek z diamentem. Między nami mówiąc, Beecroftowie nie mają za dużo pieniędzy od czasu, gdy zbankrutowała firma Kinga, a to było już parę lat temu. No dobrze. Co wybiera King z katalogu? Wybiera ptaszka z ceramiki, który gwizdże. Nie powiem, to oryginalny prezent, ale dosyć tani, w cenie pudełka czekoladowych truflí.

Powinłam była mu zresztą zasugerować, że truflie sprawiłyby Patty znacznie większą przyjemność...

– No i co? – Anna na próżno miała nadzieję, że tym pytaniem przyspieszy nieco tok opowieści.

– No i to, że jak to w życiu bywa, ptaszek nie dociera na czas. Po prostu dostawca zawodzi, zabrakło w magazynie. Czy jaśnie pan Beecroft potrafi to zrozumieć? Czy jest w stanie pojąć, że ja nie ulepię mu tego ptaszka z powietrza? Nie. Co zatem robi? Otóż dzwoni do mojej pracownicy i żąda, żeby wsiadła w samochód i pojechała do najbliższego sklepu z prezentami, który jest sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, a następnie kupiła na nasz koszt takiego samego ptaszka. Nie żartuję. A zgadniecie, co powiedział ten bubek, gdy usłyszał, że ona nie może tego zrobić? Nigdy byście nie zgadli. On powiedział do niej: „Czy pani wie, kim ja jestem?”.

– Niemożliwe! – wykrzyknęła Anna.

– Możliwe. Kompletny przygłup z manią wielkości, kretyn i arogant. Po prostu ręce opadają. „Czy pani wie, kim ja jestem?”

Rip zmarszczył czoło, widząc, że obie aż się krztuszą od tłumionego śmiechu.

– I co, wiedziała? – zapytał spokojnie.

Carrie uciszyła się natychmiast. Zobaczyła błysk w jego oku i tak ryknęła śmiechem, że całe miasto musiało ją usłyszeć.

– Boże, co za cudowny facet! – mruknęła do Anny, po czym zwróciła się do niego: – Nie wiedziała. Ta dziewczyna to miłe dziecko, ma siedemnaście lat, dopiero co przyjechała do Montrose i zaczęła u mnie pracować. Z pewnością nie miała pojęcia, kto dzwoni. To właśnie było najzabawniejsze.

Carrie dała ludziom dobry przykład. Kiedy zobaczyli, że rozmawia z Ripem, traktując go jak swojego, też zaczęli podchodzić, by zamienić parę słów. Niektórzy pamiętali go z dawnych czasów i tego nie kryli, inni zdawali się nieświadomi faktu, że jest marnotrawnym synem tego miasta i ma więzienną przeszłość. Większość kierowała się po prostu grzecznością, nieliczni myśleli o profitach, jakie w przyszłości może im przynieść odnowiona znajomość.

Dlaczego podchodzili, nie miało znaczenia – liczyło się to, że zrobili to wszyscy. Ripowi udało się wejść na wody terytorialne miasta i co więcej, te wody wcale nie były takie chłodne i niegościnne. Razem z Anną zrobili krok na drodze do celu, jakim było znalezienie mu miejsca w tutejszej społeczności. Zaryzykowali i powiodło się.

– Umieram z głodu – powiedział Rip, gdy szli do jego samochodu.

– Przecież przed chwilą jadłeś. – Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Mięso z tektury, wodnistą papkę z ziemniaków i bliżej nieokreśloną sałatkę? Nawet gdybym nie miał tak ściśniętego gardła, nie wmusiłbym w siebie tych świństw.

– Było aż tak źle?

– W życiu nieraz przewodniczyłem zebraniom akcjonariuszy, którzy mieli ochotę rozerwać mnie na strzępy, ale wtedy mniej się denerwowałem niż dzisiaj.

– To dlaczego ja dotąd myślałam, że jesteś taki twardy?

– Bo potrafię być twardy w stosunku do wszystkich oprócz ciebie.

Uśmiechnął się, ale tylko ustami, nie oczami. Anna zastanowiła się, czy to żart, czy też

jest w tej odpowiedzi odrobina prawdy, Rip jednak nie pozwolił jej wyciągnąć żadnych wniosków, bo zaraz dodał:

– Zdaje się, że mówiliśmy o jedzeniu. Zrobimy coś w tej sprawie?

– Przepraszam, zapomniałam. Masz jakiś pomysł?

– Może lody?

– Mniam, mniam, to brzmi zachęcająco. Proszę cię bardzo.

Rip zjadał się lodami. Od dzieciństwa był to jego ulubiony przysmak. Jak zwykle zamówił porcję bez żadnych dodatków. Po prostu lody waniliowe, bez czekolady, bez prażonych orzeszków na wierzchu, bez sosu owocowego. Zwyczajna, a jednocześnie nieziemską przyjemność rozplaszczania na języku porcji gęstego kremu, od czasu do czasu urozmaicana chrupaniem wafelka.

Siedzieli w Dairy Queen, samoobsługowym barze przesiąkniętym zapachem wołowiny z rusztu, cebuli, musztardy i mlecznych koktajli. Rip ze wzruszeniem zauważył, że od lat nic tu się nie zmieniło. Ciągle ta sama piorunująca mieszanka w powietrzu, ta sama lepka podłoga i siedzenia z dermy, poniszczone od ostrych narzędzi, jakie zawsze noszą w tylnej kieszeni żywiący się tu robotnicy budowlani i pomocnicy z okolicznych farm.

Kiedyś w Dairy Queen bywała cała szkoła. Ile nieprzyzwoitych żartów, opowieści o dziewczętach i narzekań na nauczycieli wysłuchały te ściany! Ile ważnych momentów rozegrało się w tym miejscu – momentów, które należały do TAMTEGO ŻYCIA, sprzed włamania i procesu, po którym policyjny radiowóz zawiózł go, skutego kajdankami, do więzienia.

Zawsze tęsknił za tą atmosferą, tylko nie wiedział, że aż tak.

Oprócz przyjemności z czegoś, co mógł porównać tylko do powrotu do domu, przepełniało go uczucie ulgi. Wszystko poszło tak gładko w czasie obiadu, choć wcale nie

musiało. Anna cały czas stała przy nim i robiła, co mogła, by go wspierać. Delektował się teraz tym zwycięstwem, które tak dobrze wróżyło na przyszłość.

– Pamiętam, jak zafundowałeś mi tu kiedyś lody – odezwała się Anna, nie podnosząc wzroku znad swojego wafelka.

– Dziwne, że tego nie zapomniałaś – odparł, choć sam doskonale przypominał sobie tamten moment, jeden z nielicznych, kiedy byli sami, bez Toma.

W ostatniej chwili złapała kroplę, która miała upaść na jej żakiet.

– To była specjalna okazja – powiedziała.

Rip omal nie jęknął, przyglądając się powolnym ruchom jej języka, krążącego wokół gałki lodów. Pomyślał, że jest teraz zimny i słodki i że cudownie byłoby popróbować jego smaku.

– Tak, chciałem ci kupić hamburgera i koktajl.

– Ale ja nie chciałam ani hamburgera, ani koktajlu. Poszukała jego spojrzenia i przetrzymała je. Pomyślał, że te szare oczy chcą przekazać mu jakąś wiadomość. Tylko jaką? Spróbował dokładnie przypomnieć sobie tamten odległy moment, bo być może on zawierał klucz do rozwiązania zagadki.

A zatem to był letni dzień, tak jak dzisiaj. Na drodze za miastem spotkał Annę, Toma i Kinga Beecrofta. Stanęli na poboczu, żeby porozmawiać. Wydawało się, że Anna ma dosyć towarzystwa obydwu chłopców, bo zapytała go, dokąd jedzie. Gdy powiedział, że do Dairy Queen, oświadczyła, że zabiera się razem z nim i wskoczyła do jego zdezelowanego pickupa. Tego samego popołudnia obydwójce wylądowali w trawie koło Blest.

Czyżby teraz usiłowała mu powiedzieć, że tamtego dnia dał jej dokładnie to, czego chciała? Że wystarczyło jej być z nim, przyjąć to, co mógł jej ofiarować, i w końcu położyć się w jego ramionach?

Bardzo chciał w to wierzyć, ale nie był aż takim zarozumiałcem, co zresztą różniło go od niektórych jego dawnych kolegów.

Anna jakby czytała w jego myślach, bo zapytała:

– Co sobie wczoraj pomyślałeś o Kingu?

– To samo, co zawsze.

– Niestety, o nim nie da się myśleć inaczej. – Błady uśmiech mignął na jej twarzy. –

Byłam zdziwiona, że wspomniał o Tomie. O ile wiem, odkąd Tom zniknął, King nigdy nie wymówił jego imienia.

– Sądysz, że ciężko mu było zrezygnować ze swojego ulubionego tematu?

– Z mówienia o sobie? Może. Czasami jednak zastanawiałam się, czy on przypadkiem nie ma czegoś na sumieniu.

– I czy mógł przyłożyć się do zniknięcia Toma?

– Może? Podejrzewam, że wie coś, czego nie chce powiedzieć. Ostatniego lata przed zniknięciem Tom spędzał sporo czasu z nim i jego paczką, bo przecież ty byłeś zajęty, pracowałeś na stacji benzynowej.

Mało brakowało, a Rip przytaknąłby jej, by chociaż częściowo zepchnąć na kogoś innego ciężar podejrzeń, który od tak dawna dźwigał zupełnie sam. Nie zrobił tego jednak.

– Nigdy nie przepadałem za Kingiem, ale też nigdy nie słyszałem, żeby zrobił coś nieuczciwego.

– Często brakowało mu pieniędzy.

– Mnie też.

– Ale on miał bardziej kosztowne upodobania. Samochody, dziewczyny... Ludzie w jego paczce brali narkotyki. Zresztą, o ile pamiętam, w czasie twojego procesu King był na odwyku.

Tego akurat Rip nie wiedział, lecz nawet jeżeli była to prawda, nie zmieniało to niczego w sprawie Toma ani jego własnej.

– Nie mam żadnych dowodów, ale zawsze podejrzewałam, że to on namówił Toma do brania – wyznała Anna. – A jakie jest twoje zdanie?

Rip nie odpowiedział. Nigdy nie miał wątpliwości, że tak właśnie było, ale ostateczną decyzję podjął przecież sam Tom, nie kto inny.

– Dlaczego nic nie mówisz? Dlaczego się nie odzywasz, tak jak nie odezwałeś się ani słowem w czasie procesu? Dlaczego niczego nie próbujesz wyjaśnić? Wyłumacz mi wreszcie, Rip, co ty ukrywasz?

– A co niby mam ukrywać?

– Nie wiem, pewnie nic, ale przynajmniej porozmawiaj ze mną. Powiedz, co robiłeś, kogo widziałeś, co naprawdę się wydarzyło...

– Przecież wszystko wiesz, byłeś w sądzie.

– Wiem tylko to, co zostało powiedziane w czasie rozprawy, czyli niewiele. Czasami wracam do tego myślami i analizuję na wszelkie sposoby, aż głowa zaczyna mi pękać. Raz wydaje mi się, że ukradłeś te pieniądze dla Toma, ale on nie chciał ich przyjąć. Kiedy indziej, że to King je ukradł, ale Tom się o tym dowiedział i poprosił, żebyś ty oddał je na miejsce. Albo że Tom razem z Kingiem włamali się na stację, ale coś im nie wyszło, uciekli, każdy w innym kierunku, a ciebie wysłali, żebyś pozbierał pieniądze. Czasami też wyobrażam sobie Toma jako powłóczęgo nogami narkomana, który żyje na ulicy jakiegoś miasta i jest mu wstyd wrócić do domu. Albo myślę, że pokłócił się wtedy z Kingiem, że go zamordowano i leży teraz w jakimś anonimowym grobie.

– A czasami – powiedział cicho Rip – wstawiasz moje imię tam, gdzie teraz wstawiłaś imię Kinga. I zastanawiasz się, czy to nie ja jestem wszystkiemu winien.

Anna przyłożyła dłoń do czoła, jakby nagle rozboleła ją głowa.

– Owszem – przyznała – próbowałam to robić. Ale rezultat zawsze wydawał mi się nonsensowny. No bo jeżeli planowałeś obrabować miejsce, w którym pracowałeś, to dlaczego nie wymyśliłeś sobie jakiegoś alibi? Przecież tak inteligentny człowiek przygotowałby to o wiele lepiej. Oprócz alibi załatwiłbyś sobie bezpieczną kryjówkę i schowek, w którym pieniądze przeleżałyby do momentu, kiedy mógłbyś się nimi posłużyć. I jeszcze jedna sprawa. Stację obrabowano około jedenastej wieczorem, a ciebie zatrzymano dopiero po drugiej nad ranem. Przecież przez trzy godziny nie jeździłeś dookoła tej stacji w swoim rozklekotanym pickupie. Coś musiało się wydarzyć w międzyczasie, tylko co?

Przyjrzał się jej z uwagą. Na jej twarzy zobaczył wyczerpanie i zwątpienie.

– Co ty właściwie robisz, Anno? – zapytał spokojnie.

– Szukam odpowiedzi, nie widzisz?

– Widzę. To dlatego siedzisz tu ze mną, prawda? Nie dlatego, że mi ufasz, nawet nie dlatego, że chcesz ocalić Blest, choć wiele dla ciebie znaczy. Tobie chodzi tylko o Toma i o to, gdzie jest teraz. Powiedziałaś sobie, że ja mogę cię do niego doprowadzić i...

– Ja tylko chcę odpowiedzi na swoje pytania! – przerwała mu gwałtownie. – Ta niewiedza mnie męczy, zatrauwa od środka. Muszę poznać prawdę, muszę, to mi jest potrzebne. I jest potrzebne mojej matce, bo dopiero wtedy będziemy mogły przestać się zastanawiać, czekać i mieć nadzieję.

Przez ułamek sekundy Rip czuł coś w rodzaju zazdrości Kaina, tak jakby Tom naprawdę był jego bratem, Ablem, który nigdy nie robił nic złego i którego rodzina kochała ponad wszystko. To uczucie znikło jednak równie szybko, jak się pojawiło.

W jego przypadku nie było więzów krwi, poza tym Kain miał takie samo prawo do miłości, jak jego brat – nawet jeżeli mu jej nie okazywano. On, Rip, nie miał żadnego prawa.

– Nie daj się zbyt ponosić wyobraźni – powiedział bezbarwnym głosem. – Za tym, co się stało, nie kryje się żadna ponura tajemnica. To nawet nie jest interesujące. Ot, po prostu, zdarzyło się kiedyś coś wstrętnego, ale takie rzeczy zawsze się zdarzały i będą się zdarzać. Zapłaciłem za to słoną cenę. Koniec, kropka. Bardzo mi przykro, jeżeli nie możesz się z tym pogodzić, ale taka jest rzeczywistość. Gdybym mógł cię zaprowadzić w miejsce, w którym jest teraz Tom, natychmiast bym to zrobił. Gdybym mógł go dla ciebie wyczarować, nie zwlekałbym nawet przez chwilę. Niestety, nie mogę zrobić ani jednego, ani drugiego. Na tym kończy się ta historia.

– Nie w mojej książce.

Patrzyli na siebie może przez sekundę, ale obydwójgu ten czas wydał się nieskończenie długi. W końcu Anna rzuciła okiem na zegarek.

– Późno już. Muszę wracać do pracy – powiedziała. Zanim zdążył zaprotestować, była przy drzwiach. Wstał, zdecydowany pójść za nią. Nie zrobił dwóch kroków, gdy zobaczył, jak zatrzymała się koło kosza na śmieci i wrzuciła tam końcówkę wafla. Poczul się tak, jakby to jego odrzucała w ten symboliczny sposób, zaraz jednak ją dogonił i chwycił mocno za ramię, tak że musiała stanąć. Nie przejął się zupełnie oburzonym spojrzeniem starszej pani, która właśnie przechodziła ulicą.

– Nie zapomnij, że jesteśmy jutro umówieni na szukanie łóżka.

– Zaproponowałam ci pomoc i obietnicy dotrzymam – powiedziała wyniośle. – Kiedy się do czegoś zobowiązuję, doprowadzam rzecz do końca.

– Liczę na to, dałaś mi słowo.

– Owszem. Uważam jednak, że nie tylko ja powinnam być do czegoś zobowiązana, ale ty również.

– Doskonale, to brzmi jak aneks do naszej umowy. Czy przypieczętujemy go w taki

sposób jak poprzednio?

– Nie sędzę, żeby to było konieczne.

Chłód jej głosu nie ostudził wcale jego irytacji, Rip jednak uznał, że najlepiej odpowiedzieć z humorem.

– Jeżeli nie konieczne, to może wskazane? Nie masz pojęcia, ile można się nauczyć, mając odpowiednie bodźce. Jeżeli zwyczajny całus do tego stopnia wyprowadza cię z równowagi, pomyśl, jakie miałybyś możliwości następnym razem, kiedy będziemy znów obydwój na golasa.

Anna zrobiła się purpurowa na twarzy.

– To akurat zdarzy się dopiero wtedy – powiedziała, cedząc każde słowo – kiedy lody, które kapią teraz na twoje buty, wskoczą ci z powrotem do wafla.

Wyszarpnęła ramię z jego uścisku i ruszyła z impetem przed siebie. Odprowadził ją wzrokiem, patrząc na jej dumnie uniesioną głowę i wyprostowane ramiona. Gdy zniknęła za rogami, zaklął szpetnie, cisnął resztkę lodów do kosza i walnął pięścią w pokrywę z czerwonego plastiku.

Koniec z lodami. Na zawsze.

ROZDZIAŁ 8

Kiedy w sobotę rano Anna zjawiła się w Blest, na trawniku stał olbrzymi wóz campingowy, długi jak pociąg. Oparła ręce na biodrach i przyglądała się chwilę potworowi. Nie trzeba było geniusza, żeby zrozumieć, co znaczy obecność tej maszyny: oto Rip zamieszkał w Blest.

Jakby na potwierdzenie jej domysłów, wyszedł z wozu i niespiesznie zrobił kilka kroków w jej stronę. Włosy miał jeszcze mokre po porannym prysznicu, pachniał czystością i płynem po goleniu. Poczowała nagłe ściśnięcie w żołądku, które jednak nie miało nic wspólnego z

faktem, że przed wyjściem z domu nie zjadła śniadania. Natychmiast spróbowała zapanować nad tą niespodziewaną reakcją, ale niezupełnie się jej to udało.

– No, no, widzę, że nie tracisz czasu – powiedziała lekko drżącym głosem.

– Straciłem wszystko, na czym mi zależy – oświadczył ni stąd, ni zowąd i zmrużył na moment oczy.

Zrobiło się jej gorąco, bo przypomniała sobie, w jaki sposób rozstali się wczoraj. Swoje zażenowanie pokryła ironiczną uwagą:

– Jestem pewna, że byłoby ci wygodniej i bez porównania przyjemniej tu mieszkać, gdyby twój dekorator wewnątrz coś ci zaaranżował. Albo ta jego asystentka.

Kąciki ust Ripa lekko się uniosły, a ponure spojrzenie trochę się rozjaśniło.

– Chcesz zajrzeć i coś doradzić?

– Ja? Dlaczego ja miałabym to robić?

– Ponieważ jesteś jedynym dekoratorem, jakiego mam – powiedział, przyglądając się jej uważnie, od włosów uczesanych w koński ogon aż po nogi, tylko w niewielkiej części zakryte przez lniane szorty. – Chociaż muszę przyznać, że nikt by się tego nie domyślił, bo wyglądasz dziś najwyżej na piętnaście lat.

Musiała nabrać głęboko powietrza, żeby móc wykrztusić choć słowo i nie rozkleić się tu przed nim na wspomnienie swoich piętnastu lat i roli, jaką Rip odgrywał wówczas w jej życiu.

– Zdaje się, że spotkaliśmy się w sprawie łóżka? – odezwała się wreszcie.

– Jeśli tylko sobie tego życzysz....

– Myślałam o łóżku ze strychu!

– Oczywiście. Ja też.

Wiedziała, że wcale nie to łóżko miał na myśli. Rip był silny i pewien swej władzy,

dlatego też pozwalał sobie na takie onieśmielające dwuznaczności. Po raz kolejny uzmysłowiła sobie, że ten potężny mężczyzna nie ma nic wspólnego z nieśmiałym, subtelnym chłopcem, którego kiedyś знаła. I to właśnie tamtego chłopca tak jej w nim brakowało, za nim tęskniła – za jego czułym dotykiem i bezwarunkowym oddaniem.

– Moim zdaniem nie byłam i nie jestem ci do niczego potrzebna – powiedziała, starając się stłumić to bolesne poczucie straty. – Doskonale poradziłeś sobie sam.

– Nieprawda – odparł po prostu. – Ja ciebie potrzebuję.

– O, tak, przed ludźmi, żeby cię poważali. – Wsadziła ręce do kieszeni, co spowodowało, że jej piersi schowane pod czerwonym podkoszulkiem stały się bardziej widoczne.

– Możesz być spokojny, zrobiliśmy wczoraj dobre wrażenie, mam już pierwsze echa.

Najwyraźniej klubowicze, których spotkaliśmy, że nie wspomnę o wazeliniarzach, których kupiłeś swoją forszą, rozmawiali między sobą o tym, co tu się dzieje. Miałam już telefon od prezesa izby handlowej z pytaniem, czy rzeczywiście zechcesz wyłożyć fundusze, żeby wspomóc festiwal sztuki...

– I co mu powiedziałaś?

– Jej, bo prezes to kobieta – poprawiła go i pospiesznie zmieniła pozycję, ponieważ zdała sobie wreszcie sprawę, na czym skupia się jego wzrok. – Powiedziałam, że na pewno zechcesz, bo twoim najgorętszym życzeniem jest zachować i ochronić dorobek Papy Vidala, a także wspierać rozwój sztuk na naszym terenie. Powiedziałam też, że po zakończeniu renowacji z przyjemnością będziesz udostępniał Blest zwiedzającym.

– Naprawdę to zrobiłaś? – Uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Najlepszy sposób, żeby ludzie nie stracili zainteresowania dla twoich poczynań, to dać im nadzieję, że kiedyś wyciągną z nich korzyści.

– Ale ja nie chcę, żeby po moim domu biegały tabuny obcych ludzi, którzy będą wsadzać

nos do każdego kąta!

– Trzeba było wcześniej się nad tym zastanowić, zanim zdecydowałeś się zamieszkać w budynku o wartości historycznej.

– Nie opowiadaj bzdur. Blest nie jest aż tak cenne.

– Nie? Ten dom spełnia wszelkie warunki, żeby go wpisać do krajowego rejestru zabytków, wystarczy tylko dopełnić kilku formalności.

– Wiem, wiem, dowiadywałem się o wszystko, zanim go kupiłem. – Machnął niecierpliwie ręką. – Jeżeli miałby zostać zaklasyfikowany jako zabytek, renowacja powinna przebiegać według określonych reguł, ale nie ma żadnego obowiązku udostępniania go całej Ameryce.

– Przecież Blest ma ci posłużyć jako środek do zrealizowania pewnej idei, a żeby ją zrealizować, musisz przekonać ludzi, że nie kierujesz się wyłącznie egoistycznymi pobudkami. Dzięki temu będziesz miał czysty start, przekreślisz przeszłość.

Nie były to przyjemne słowa, ale wcale nie próbowała ich łagodzić. Dzisiaj jakoś nie potrafiła.

Rip podniósł rękę i zaczął masować sobie kark. Nie patrzył na nią, tylko przed siebie, na dęby, przez które przeświecało poranne słońce. Po chwili westchnął i pokiwał głową.

– Masz rację. No to co, od czego zaczynamy?

– Od buszowania po zakurzonym strychu, na którym z każdą minutą będzie coraz cieplej.

– Ponieważ domyślam się, że to, co masz na sobie, jest twoim strojem roboczym, proponuję, żebyśmy od razu tam poszli.

Szukanie łóżka zamieniło się w wygrzebywanie spod grubej warstwy kurzu dawno zapomnianych rupieci. Co chwilę coś odkrywali: toaletkę z pękniętym lustrem, pudełka z ozdobami na choinkę, wyblakły mundur z czasów pierwszej wojny światowej, konia na

biegunach, którego ktoś kiedyś schował w wełnianym pokrowcu, teraz w połowie zjedzonym przez mole.

Walczyli z pajęczynami, pocili się z gorąca, co chwilę któreś z nich rozcierało sobie głowę albo kolano obite o wystającą zdradziecko deskę. W powietrzu unosił się zapach starych papierów, kamfory, lawendy i pleśni. Kłęby kurzu, wzbijające się z każdym ich krokiem, tańczyły w promieniach słońca, które przenikały przez otwory wentylacyjne. Łóżko stało w kącie, schowane za jednym z sześciu kominów Blest. Było oczywiście w częściach, bo inaczej nie zdołano by wnieść go po wąskich, stromych schodach, które prowadziły na strych. Oboje podziwiali zgrabne krzywizny mebla, rzeźbienia i połączone, metalowe liście, całą urodę przedmiotu, która przetrwała prawie dwieście lat.

– Teraz już nikt nie robi takich rzeczy. – Anną dotknęła dłonią części, która po złożeniu powinna znaleźć się u wezłowia.

– Pomyśl, jakie to było pracochłonne, ile wymagało czasu i wysiłku – zadumał się Rip.

– Pomyśl o ludziach, którzy w nim sypiali, rodzili się i umierali.

– I którzy się w nim kochali...

Spojrzała na niego, zaintrygowana niespodziewaną wibracją w jego głosie. Byli zmęczeni, brudni, lecz zarazem dumni z rezultatu swoich poszukiwań i wzruszeni tym spotkaniem z przeszłością. Czuli się tak, jakby weszli do krainy duchów i wnieśli do niej własne życie, bijące serca, krew pulsującą w żyłach.

Nie mogła wytrzymać jego spojrzenia, więc uciekła wzrokiem niżej. Ten jednak zatrzymał się na wargach Ripa, rozchylonych, pełnych...

Potem zaś już nie było wiadomo, kto poruszył się pierwszy, on czy ona. Wystarczyła chwila, by przywarli do siebie, tak jak stali, spoceni, z rękoma czarnymi od brudu. Rip dotknął jej swoimi ustami, które były gorące i głodne, i które smakowały bardzo, bardzo

słodko. Zaczął obrysowywać językiem jej wargi, dopominając się o jak najszybszą odpowiedź. Wodził dłonią po jej ciele, jakby próbował nauczyć się na pamięć jego konturów i zaokrągleń.

Wreszcie ustąpiła, otworzyła się na pocałunek, przycisnęła język do jego języka. Było jej za mało tej bliskości, chciała go wpuścić jeszcze głębiej. Jego zapach rozpałał jej zmysły, a pragnienie całkowitego zespolenia się z nim ogarnęło ją tak nagle, że aż poczuła zawrót głowy.

Wszystko wydawało się jej teraz naturalne, oczywiste. Ten człowiek był jej bliski wręcz do bólu. Wstrząsnął nią szloch, w którym stare cierpienie łączyło się z nowym, niewiarygodnie silnym pożądaniem. Łzy napłynęły jej do oczu. Zacisnęła dłonie wokół jego naprężonych ramion, nie zważając na to, że prawie rozdziera mu koszulę. Otworzyła jeszcze szerzej usta.

Rip przygarnął ją do siebie mocniej. Położył ręce na jej piersiach, potem ostrożnie wsunął je pod bluzkę. Drżał i czuła, że mimo upału ma gęsią skórkę. Zniżył głowę, przeciągnął językiem po zagłębieniu między jej piersiami, wreszcie z westchnieniem zanurzył w nim twarz.

Anna poczuła, jak jej kolana miękną i uginają się pod nią, nie dając oparcia. Zachwiała się, a wtedy on rozstawił szerzej nogi i przytrzymał ją, by nie upadła. Dysząc ciężko, rozejrzał się w panującym dokoła półmroku. Wiedziała, czego szuka, rozumiała, czego chce – trochę wolnego miejsca, w miarę czystego, bez ostrych kantów i drzazg mogących zranić obnażoną skórę. Czy ona także tego chciała?

Nie miała pewności, ale też nie mogła zebrać myśli, bo szumiało jej w głowie, krew pulsowała jak szalona, a podniecenie otumaniało umysł. Ostatkiem świadomości postanowiła zmusić się do podjęcia decyzji, zanim będzie za późno – o ile w ogóle już nie było za późno.

Na stosie starych chodników leżała zakurzona kołdra. Rip pchnął ją lekko w tamtą stronę, nie wypuszczając z objęć. Już mieli na nią opaść, kiedy nagle usłyszeli na dole szuranie kroków. Ktoś powoli, z trudem wchodził schodach.

– Panie Rip? – drżący głos Papy Vidala odbił się echem od ścian strychu. – Jest pan tam?

I pani Anna?

Anna poczuła nagłą wdzięczność dla staruszka, który przychodził uratować ją od popełnienia poważnego błędu. Zaraz jednak pomyślała, że nie należy może przesadzać z tą wdzięcznością. Była teraz pewna, że obeszloby się nawet bez Papy Vidala i że sama umiałaby wyzwolić się spod zmysłowego czaru Ripa Petersona, tyle że wymagałoby to trochę więcej wysiłku.

Och, nigdy nie powinna była pozwolić, by sprawy zaszły tak daleko. Naturalnie, poczuwała się do winy, wiedziała, że to jej przyzwolenie, jej gotowość do współpracy popychała Ripa do coraz śmielszych poczynań. Ale przecież nie planowała tego wszystkiego, to... po prostu samo się przydarzyło!

Najgorzej będzie, jeśli Rip wyciągnie z jej zachowania fałszywe wnioski i pomyśli, że choć tym razem ktoś im przeszkodził, to odrobiją tę stratę przy najbliższej okazji.

Nie odrobiją. Czar przysł, wszelka ochota odeszła. Będzie musiała wyraźnie dać mu to do zrozumienia.

Papa Vidal doczłapał wreszcie na górę. Jego obecność zmusiła ich do zabrania się do pracy. Pokręcili się jeszcze moment po strychu, podyskutowali o zniesieniu łóżka, po czym zeszli na dół. Znaleźli blok papieru, długopis i zaczęli chodzić po domu, zapisując w punktach wszystko, na co należałoby zwrócić uwagę w czasie robót renowacyjnych. Uwagi towarzyszącego im Papy Vidala były dla nich bardzo cenne, bo przecież pamiętał, jak było tu przedtem, zanim rodzina Montrose'ów musiała opuścić swą siedzibę, a obcy ludzie przerobili

wnętrza, instalując na przykład kuchnię w dawnej palarni.

Ostatni remont przeprowadzono w Blest w 1950 roku, kiedy dom miał dokładnie sto lat.

Rip zamierzał przywrócić mu pierwotny wygląd, ale też zaplanował jedną innowację:

zbudowanie na tyłach zgrabnego pawilonu, który pomieściłby nowoczesną kuchnię i pokój śniadaniowy. Anna uznała, że pomysł jest praktyczny i interesujący z estetycznego punktu widzenia.

Kiedy dość nadreptali się po schodach, korytarzach i pokojach, wyszli na zewnątrz. Rip zostawił wtedy na chwilę Annę z Papą Vidalem, a sam poszedł do swojego domku na kółkach po chłodne napoje.

Anna zbliżyła się do ogrodzenia. W zadumie patrzyła na poprzewracane kamienie starego cmentarza, widoczne wyraźnie z tego miejsca, i na rosnące tam wielkie cedry.

– Niech pani Anna uważa. – Papa Vidal stanął obok niej. – To ogrodzenie jest niepewne.

Miał rację – wystarczyło, że lekko dotknęła prętów, a zachybotwały się. Uśmiechnęła się blado i zrobiła krok do tyłu.

– Muszę być ostrożniejsza – powiedziała.

– Tak, tak, tu trzeba ostrożnie. – Pokiwał głową. – Pani Anna coś zamyślona dzisiaj, widzę.

W wyblakłych oczach Papy Vidala było tyle przenikliwości, że Anna miała pewność, iż doskonale wiedział, co stało się na strychu. Przed nim nigdy nic się nie ukryło, znał wszystkie sekrety Blest.

Rozejrzała się dookoła i jej roztargniony wzrok jeszcze raz zatrzymał się na kamieniach starego cmentarza.

– Dziwne, że ludzie chowali kiedyś swoich zmarłych tak blisko domu, prawda? Może pocieszali się myślą, że w dowolnej chwili mogą odwiedzić ich grób?

– Tak, tak, a jaka wygoda z tym była – potwierdził. – Teraz są przepisy na wszystko.

Tego nie wolno, tamtego nie wolno, no i co to daje? A to, że prawie nikt nie chodzi na groby.

Na gorsze się zmieniło.

To prawda. Anna pomyślała o swoim ojcu, który chciał być pochowany w Blest. Władze by się na to zgodziły, bo cmentarz istniał, lecz matka po jego śmierci zmieniła zdanie. Uznała, że to zbyt dziwaczny, staromodny pomysł i w rezultacie przypadła mu w udziale standardowa, pozbawiona wszelkiej oryginalności tablica na miejskim cmentarzu.

– Musimy wpisać renowację starego cmentarza na naszą listę – zadumała się. – Jest w fatalnym stanie, nawet płot jest zniszczony.

– O nie, proszę pani, nie trzeba wszystkiego zmieniać – wykrzyknął staruszek.

– Ależ nikt nie ma zamiaru wszystkiego zmieniać – uspokoiła go. – Myślę tylko o podniesieniu płotu i poustawianiu płyt, które pospadały, tak żeby można było tam wejść. Jak to by wyglądało – koło domu wzorowy porządek, a tam wszystko byle jak.

– Ale to może poczekać, prawda? – niepokój Papy Vidala nie ustępował.

– Na pewno, najpierw zrobi się prace w domu. Tylko nie rozumiem, dlaczego...

– Pani Anna nie rozumie, ja wiem... – przerwał i popatrzył na nią rozbijającą. – Ale ja maluję teraz ten cmentarz, taki jaki jest, porozwalany, z tymi wszystkimi krzakami, co tam rosną. Chciałbym złapać duchy, zanim sobie pójdą.

Uśmiechnęła się do niego ciepło i położyła dłoń na jego zgarbionym ramieniu.

– Trzeba było od razu powiedzieć, Papo. Nie wiedziałam, że znowu malujesz.

– Zacząłem tydzień temu. Oj, dawno nie trzymałem pędzla w ręce. Pani wie od kiedy.

Wiedziała. Papa Vidal nie tknął swoich narzędzi malarskich od dnia, w którym zaginął jej brat, a Rip poszedł do więzienia.

– Co to będzie, fresk? Gdzie powstaje?

– W starej szkole.

– Tam, gdzie Rip chce urządzić dom dla gości?

– Pomyślałem sobie, że to będzie prezent ode mnie – potwierdził stary. – Chyba się nie pogniewa, że mu zająłem całą ścianę.

– Na pewno będzie zachwycony. Ucieszy się tak samo jak ja, że wróciłeś do malowania.

– Taki nastrój mnie naszedł, że zachciało mi się spróbować.

– Bardzo się cieszę. – Anna serdecznie poklepała go po wychudłym ramieniu, które przykrywała połatana koszula.

Po chwili wrócił Rip, przynosząc im zimny sok ananasowy. Wszyscy razem usiedli w cieniu kolumnady na starej ławce pochodzącej z jakiegoś kościoła i popijali w milczeniu.

Papa Vidal wyjął z kieszeni Henerietę, która kurzym zwyczajem zajęła się grzebaniem pazurami w piasku.

Przez chwilę bezmyślnie obserwowali, jak dziobie, ale szybko się otrząsnęli i zaczęli omawiać kwestię wymiany starych żaluzji z drewna cyprysowego, które dawniej rozwieszano w prześwitach kolumnady, żeby chroniły przed słońcem. Przy tej okazji Papa Vidal opowiedział im anegdotę, której bohaterką była poprzednia właścicielka.

Otóż dawno temu, jeszcze w latach czterdziestych, pani ta miała zwyczaj pluskać się w upalne dni w balii wypełnionej zimną wodą. Balię ustawiano właśnie pod kolumnadą i spuszczano żaluzje. Porzuciła ten zwyczaj dopiero wtedy, gdy zaskoczył ją pracownik elektrowni, który przyjechał na odczyt licznika i absolutnie nie mógł go znaleźć, postanowił więc wejść do domu i poprosić kogoś o pomoc.

W tym momencie, zupełnie jak na filmie, na podjeździe stanął samochód z elektrowni.

Przyjechał na wezwanie Ripa, który chciał podłączyć dom do sieci przed sprowadzeniem ekipy remontowej. Teraz musiał wstać i wszystko uzgodnić. Wziął ze sobą Papę Vidala, żeby

ten pomógł mu znaleźć ów tak dobrze ukryty licznik.

Anna, zostawiona samej sobie, weszła z powrotem do domu. Pokręciła się trochę po opuszczonych pokojach, aż trafiła do sypialni, którą zdobiło jedno z malowideł Papy Vidala. Nad tym freskiem pracował tamtego feralnego lata i była to, jak dotąd, ostatnia jego ukończona praca.

Centralny punkt kompozycji stanowił olbrzymi dąb z sięgającą do sufitu koroną, który zdawał się chronić wszystko, co znalazło się w zasięgu jego gałęzi. W tle widać było Blest. Dom był rozświetlony słońcem do tego stopnia, że aż raził w oczy. Na balkonie stali pod rękę kobieta i mężczyzna w strojach z epoki wiktoriańskiej i z pełną miłości aprobatą patrzyli na to, co się dzieje w cieniu dębu. Tam zaś, na trawie, odpoczywali chłopiec z dziewczyną – on w dzinsach, ona w czerwonej sukience, on o włosach ciemnych jak węgiel, ona jasnowłosa. Byli bardzo blisko, z tym że młodzieniec unosił się na łokciu i w ten sposób leżał trochę nad dziewczyną, którą przyciskał do siebie drugą ręką. Ona gładziła go delikatnie po szczupłym policzku. Na twarzach obydwójga był taki zachwyty, takie szczęście z odkrycia miłości, że cały obraz od nich promieniał.

Tą parą byli Anna i Rip.

Podeszła bliżej i przejechała palcem po namalowanej twarzy Ripa. Zamknęła oczy. Miał wtedy taką rozgrzaną skórę, jeszcze dzisiaj to pamiętała, tak jak pamiętała jego ciężar, gdy opierał się o nią, kłucie trawy, szelest liści poruszanych wiatrem, granie świerszczy i cykad, ptasie trele, żalosne narzekanie jastrzębia, który nawoływał samicę.

Na fresku ich kontakt ograniczał się do czułego dotyku, ale w rzeczywistości pragnęli znacznie więcej. Tak jak dwie godziny temu na zakurzonym strychu.

Artysta namalował tylko ich dwoje. W prawdziwym życiu tę idylliczną scenę przerwało nadejście Toma. Wynurzył się zza wielkiego, jaśniejącego słońcem domu z twarzą

wykrzywioną gniewem. Nazwał przyjaciela bękartem, podstępny wężem i kazał mu trzymać swoje brudne łapy z dala od siostry. Rip wstał powoli, wytarł dłonie o dzinsy. Zaczęli walczyć i tarzać się po rozgrzanej, pachnącej trawie, z tym że Rip nie atakował – próbował tylko chronić się przed pięściami Toma. Wtedy ona zaczęła odciągać brata, a potem zobaczyła krew na twarzy Ripa i wyraz nieznośnego bólu w jego oczach.

Takiego straszego bólu...

Zacisnęła powieki i przywarła czołem do chłodnej ściany. Nie chciała dłużej o tym myśleć, nie chciała przeżywać tego momentu jeszcze raz, bo nawet po tylu latach wspomnienie było nie do wytrzymania.

Za jej plecami rozległy się ciche kroki. Zesztywniała. Wiedziała, kto przyszedł.

Wyprostowała się i odwróciła w jego stronę.

– A więc pamiętasz? – Rip oparł się ramieniem o drzwi. W jego głosie pobrzmiewała nuta złośliwej satysfakcji. – Nie byłem pewien.

– Pamiętam – wyszeptała, mrugając szybko powiekami, żeby przegonić łzy.

– W takim razie rozumiesz, dlaczego chcę, żebyś wywiązała się z obietnicy, jaką mi złożyłaś.

– Wiem. Chcesz mnie poślubić z zemsty – odparła stłumionym głosem. – Z powodu tych wszystkich rzeczy, które Tom powiedział tamtego dnia.

Nie od razu zareagował. Skrzyżował ręce na piersi i oparł się o drzwi już nie ramieniem, a całym plecami.

– Jednego możesz być pewna: to nie z powodu pocałunku dziewczycy.

– Nigdy tak nie myślałam – powiedziała, starając się ze wszystkich sił zamaskować kłamstwo. – Ale do tego dojdzie tylko wtedy, jeżeli nie uda się zrealizować planu numer jeden...

– Jeżeli, jeżeli – powtórzył z lekkim zniecierpliwieniem, po czym dodał już znacznie spokojniej: – I tak dostanę to, czego chcę. W taki lub inny sposób.

– Wątpię, żeby było ci z tym tak dobrze.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo. Dlatego mam zamiar naprawdę się starać.

– Nie wątpię.

Pomyślała, że Rip mówi o tym, że jeżeli już przejmie ją razem z domem, będzie się starał, by i jej było dobrze. Najgorsze, że ona naprawdę bez problemu mogłaby przystosować się do takiej sytuacji.

Zawahał się, po czym wskazał głową na sufit.

– Jeśli chodzi o to, co prawie się wydarzyło parę chwil temu...

– Nic się nie wydarzyło.

– Powiedziałem: „prawie”. Prawie dałaś się ponieść, trochę tak jak szesnaście lat temu.

Różnica jest taka, że tym razem to nie twój brat, ale ty sama przypomniałaś mi, że nie jestem ciebie godzien i że daleko mi do twojego poziomu i twojej klasy.

– Nie obchodzą mnie żadne poziomy! – zaprzeczyła gwałtownie. – Obchodzi mnie tylko to, żeby nie posługiwać się mną instrumentalnie.

– Ja obawiam się dokładnie tego samego.

Sekundę trwało, zanim zrozumiała, co znaczą te słowa.

– Jeżeli sugerujesz, że się na ciebie rzuciłam, żeby wyciągnąć od ciebie wszystko, co wiesz na temat Toma, to... to po prostu żal mi ciebie!

– Zawsze ci było mnie żal, prawda? Sądzę, że akurat w tym jesteś dosyć szczerą. Zresztą nie żądam więcej. Chcę twojego współczucia i chcę odzyskać to, co mi kiedyś odebrano.

– Nie zapominajmy, że poza tym chcesz jeszcze członkostwa w klubie Bon Vivant. Niech Pan Bóg broni, żebym ci miała w tym przeszkadzać. Może nawet powinniśmy przyspieszyć

realizację tego planu. Może wydałbyś w Blest przyjęcie? Uroczysta inauguracja prac renowacyjnych – to brzmi całkiem nieźle, prawda?

– Przyjęcie? – zrobił taką minę, jakby zaproponowała mu podłożenie bomby pod dom.

– A dlaczego nie? – improwizowała dalej, rozdrażniona i zła. – Ludzie od lat mają ochotę zobaczyć, jak teraz wygląda Blest. Możesz zrobić na nich wielkie wrażenie, gdy pokażesz im dekadencją wspaniałość tego miejsca, przedstawiś plany i powiesz: oto jak pięknie tu będzie za parę miesięcy.

– A jeżeli nikt nie przyjdzie?

To niespodziewane pytanie, obnażające jego zupełny brak pewności siebie, udobruchało ją tylko na moment.

– Przyjdą na pewno, chociażby z czystej ciekawości – odezwała się tonem, który nadal nie był zbyt życzliwy.

– Jeśliby przyszli, to jedynie ze względu dla ciebie.

– Możliwe, ale chyba przez cały czas na to właśnie liczysz?

– Masz rację – wytrzymał jej chłodne, wyzywające spojrzenie – nie powinienem mieć złudzeń. Niewykluczone, że przez cały czas liczyłem na coś, co nie jest dla mnie. Może nawet to coś nigdy nie istniało.

Nie czekając na odpowiedź, pchnął drzwi i wyszedł bez oglądania się za siebie.

– Ludzie zaczynają o was gadać – Matylda Montrose odezwała się do córki, przerywając milczenie, w jakim obie jadły wspólne śniadanie.

– O kim? – spytała Anna, nie podnosząc wzroku.

– O tobie i tym przybłędzie. O tym, ile to czasu spędzasz z tym człowiekiem. Codziennie gdzieś się z nim włóczysz, zabierasz go na barbecue do Sally, na spotkanie klubu obywatelskiego... Aż niedobrze się robi.

– Mamo...

– Dotąd próbowałam tłumaczyć wszystkim, że robisz to dla Blest, że chcesz, by ten dom został odremontowany i służył całemu miastu, ale co teraz słyszę? Urządzacie tam przyjęcie z tobą w roli gospodyni! – Uderzyła pięścią w stół. – Tego już za wiele, moja droga!

– On chce tu z powrotem zamieszkać, mówiłam ci już. Żeby to zrobić, musi wychodzić do ludzi, spotykać się z nimi.

Anna nie spuszczała wzroku z kawy w kubku, którą od jakiegoś czasu pilnie mieszała.

Kawa i jeden tost na śniadanie to było zresztą wszystko, co mogła przełknąć. W ostatnim czasie jej żołądek nie chciał przyjmować prawie żadnego jedzenia.

– To niech sam się z nimi spotyka!

– Przyrzekłam mu pomoc – odparła najspokojniej, jak umiała. – Takie przyjęcie to znakomity sposób na zapoznanie miasta z jego planami. Powinnaś wiedzieć, że nasi biznesmeni naprawdę są nimi zainteresowani.

– Za to nasi przyjaciele pomyślą, że ty jesteś osobiście zainteresowana Johnem Petersonem – zareplikowała cierpko matka.

– No to nie będą mieli racji. – Anna co prawda nie była o tym przekonana, lecz nie mogła liczyć nie tylko na sympatię, ale choćby na zrozumienie ze strony swojej rodzicielki. Miała zresztą taki mętlik w głowie, że chyba nikt nie potrafiłby jej zrozumieć.

– Jak chcesz – Matyllda wzruszyła ramionami – pamiętaj tylko, że postawisz się w bardzo głupiej sytuacji. Żadna z liczących się w mieście osób na pewno nie przyjdzie na to przyjęcie.

Anna odstawiła kubek i pchnęła go prawie na środek stołu. Nie patrząc na matkę, powiedziała:

– Powinnaś się modlić, żeby przyszli. Sama powinnaś być dla Ripa bardzo miła.

– A to niby dlaczego?

– Dlatego, że w przypadku gdy te ważne osoby się nie zjawią i nie będą utrzymywały z nim kontaktów, John Peterson może zostać twoim zięciem!

– Co to znowu za bzdura... – Matylda urwała w pół słowa i spojrzała na córkę ze zdumieniem. – Jak możesz mówić coś takiego, skoro przed chwilą oświadczyłaś, że między wami nic nie ma?

– Powiedziałam, że nie jestem nim osobiście zainteresowana. – Anna zaczęła obrysowywać paznokciem wzorek na obrusie. – Może powinnam była zawiadomić cię wcześniej, ale nie sądziłam, że Rip naprawdę zechce z tego skorzystać.

– Z czego? Co ty mówisz? Nic nie rozumiem z tego bełkotu!

Anna opowiedziała jej całą prawdę, nie szczędząc szczegółów.

– Mój Boże... – Matylda skuliła się na krześle. – Nie, nie wierzę. To po prostu niemożliwe!

– Dałam mu słowo.

– Ależ to jakieś szaleństwo. Przecież w naszych czasach ludzie nie rozumują już w ten sposób.

– Dałam słowo – powtórzyła Anna. – Słowo Montrose'ów.

Matka patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Nie potrafiła zrozumieć i zaakceptować, że chodzi o coś nieodwołalnego, nie rozumiała determinacji w głosie córki.

– Nie, nie – pokręciła głową – musimy coś zrobić. Do zabawy u Bon Vivantów zostały jeszcze dwa tygodnie.

– My? Mówisz w liczbie mnogiej? – zapytała ironicznie Anna.

– My!

– Od kiedy to trzymasz ze mną wspólny front?

– Nie pozwolę, żebyś zrobiła z siebie ofiarę! – Matka zasłoniła twarz drżącymi rękami. –

Jeśli tak się stanie... Gdybym wiedziała, nigdy bym...

– Czego byś nie zrobiła? – przerwała jej Anna.

– Och, niczego.

– Przyznaj się!

– Nigdy bym go nie oczerniła w taki sposób!

– W jaki? Mów – naciskała Anna, widząc, że matka jest tak rozstrojona, iż wyzna za chwilę wszystko. – Muszę wiedzieć, co o nim naopowiadałaś.

– Że to podstępny typ, dorobkiewicz z byle jakiej rodziny, który stara się przejąć cudze dziedzictwo, bo własnego nie ma. Powiedziałam, że swoją fortunę zbił na podejrzanych interesach, na narkotykach, praniu brudnych pieniędzy albo na jakichś innych machlojkach, które obmyślił, kiedy siedział w więzieniu. Powiedziałam...

– Już wystarczy. – Anna przerwała jej gwałtownym gestem. Była zdruzgotana. – Jak mogłaś? Skąd w tobie tyle mściwości i nienawiści w stosunku do człowieka, który próbuje po prostu odbudować swoje życie?

– Bo ten człowiek zrujnował moje! Najpierw sprowadził mojego syna na złą drogę, a potem go zamordował. Jakby tego było mało, zabił twojego ojca. Nie, nie dosłownie – dodała, widząc przerażony wzrok córki – ale tak skutecznie, jakby ukatrupił go własnymi rękami.

Gdyby nie Rip, miałabym teraz przyzwoity dom, miłych przyjaciół, byłabym kimś... –

Poruszyła ustami, chcąc jeszcze coś powiedzieć, ale tylko głuchy szloch wydobył się z jej gardła. Położyła głowę na stole i zaczęła rozpaczliwie płakać.

– Rip odpokutował już za to, co zrobił. – Anna wzięła czystą serwetkę i z westchnieniem wcisnęła matce do ręki. – Co więcej, nie jest jasne, czy nie cierpiał bez powodu. Mówi o sobie, że jest niewinny.

– Oczywiście! Zdziwiłabym się, gdyby mówił inaczej.

– A jeśli to prawda? Pomyślałam sobie, że...

– To nie myśl! – wybuchnęła znowu matka. – Ani mi się waż! Twój brat był najwspanialszym, najlepszym dzieckiem na świecie. Nie pozwolę bezcześcić jego pamięci w moim domu, słyszysz?

Anna spojrzała na nią z zaskoczeniem.

– Przecież nie powiedziałam nic o Tomie.

– Ale zaraz byś powiedziała! Nie mogła zaprzeczyć.

– Tom był moim ukochanym bratem, uwielbiałam go, jednak on naprawdę nie był święty.

Poza tym banda, do której się przyłączył...

– Nie! Nie chcę tego słuchać, nie chcę, dosyć! Pomogę ci zrobić to, co musisz zrobić, ale nigdy nie pozwolę, żebyś mówiła, że mój syn miał jakikolwiek udział w tym, co spotkało tego... tego bandytę!

Gwałtowność tych słów była tak wielka, że w Annie obudziły się jakieś bliżej nieokreślone podejrzania, nie miała jednak czasu, by zastanawiać się nad nimi w tej chwili.

– Co możesz zrobić dla Ripa? – zapytała rzeczowo.

– Dla niego nic – odpowiedziała Matylda z odrazą. – Jeżeli coś zrobię, to dla ciebie, po to żeby trzymał swoje brudne łapy z dala od mej córki.

Anna zastanowiła się, jaka byłaby reakcja matki, gdyby wiedziała, że Rip już raz położył te „brudne łapy” na jej córce, ta zaś przyjęła go całkiem życzliwie.

– Co konkretnie zamierzasz? – zapytała.

– Jeszcze nie wiem. – Matylda z irytacją machnęła ręką. – W każdym razie mam jeszcze jakieś znajomości i wpływy w tym mieście.

– Uważaj tylko, żeby nie pogorszyć sprawy – ostrzegła ją Anna.

Nie doczekała się odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 9

Dzień, w którym Rip i Anna postanowili uroczystie zainauguować prace renowacyjne, przyniósł ulewny deszcz. Padało od dwunastej aż do późnego popołudnia, a ulewa zmyła grubą warstwę pyłu, który pokrywał trawę i liście, a także przyniosła przyjemne ochłodzenie. Można się było z tego tylko cieszyć, bowiem w Blest nie było oczywiście klimatyzacji. Nie należało również liczyć na oświetlenie – elektrownia uznała, że instalacja jest przestarzała i niebezpieczna, i odcięła dopływ prądu. Anna musiała w związku z tym zamówić w pobliskim sklepie istną górę świeczek. Wstawiła je do kandelabrow i świeczników, które znalazła na miejscu, przyniosła z domu oraz wyblagała u znajomych. W trakcie przygotowań wyobrażała sobie Blest jarzące się płomieniem tysiąca świec, ale musiała stwierdzić, że to, co w przeszłości zostałoby uznane za zupełnie wyjątkową iluminację, współczesnemu człowiekowi zdawało się zaledwie półmrokiem. Pocieszyła ją za to myśl, że przynajmniej dzięki temu nikt nie zobaczy kurzu na meblach, pocętkowanych ze starości luster ani rys na suficie.

Nie minęło pół godziny od planowanego początku przyjęcia, a Rip i Anna przestali się obawiać, że nikt nie przyjdzie. Samochody zaczęły podjeżdżać pod dom o zmierzchu, który jak to zwykle w lecie, trwał bardzo długo. Było już całkiem ciemno, lecz ciągle napływali nowi goście. Przez moment – ale tylko przez moment – Anna zastanowiła się, ilu z nich przygnała ciekawość, ilu zaś pojawiło się na skutek wysiłków matki i jej własnych. W granie rzeczy wcale jej to nie interesowało.

Stała przy wejściu obok Ripa i przedstawiała mu osoby, których nie znał, a także podpowiadała szeptem nazwiska, które powinien znać. Dyskretnie przekazywała mu informacje o tym, kto jest z kim ożeniony, kto gdzie mieszka, kto ma dzieci i ile, a kto nie. Z upływem czasu znajomych twarzy było coraz więcej: Sally Jo i Billy Holmes oraz ich

obie pociechy, liczni przedsiębiorcy, których Rip spotkał już w klubie, a nawet, o dziwo, King Beecroft i Patty. Carrie DeBlanc, w szacie z jedwabiu drukowanego w afrykańskie wzory, przybyła jako jedna z ostatnich. Przy swoich jasnych włosach i imponującym biuście wyglądała jak Mae West przebrana za buszmeńską królową.

– Mój ty skarbeczku – zajęczała, wyciskając na policzku Anny siarczysty pocałunek – chyba chcesz mojej zguby, że tak pokazujesz mi tego faceta. Mówię ci: albo natychmiast go gdzieś schowasz, albo nie wytrzymam i jak go chwycę, jak ścisnę, to...

– Na twoim miejscu byłabym ostrożna – zaśmiała się Anna.

– Sugerujesz mi, że on też potrafi ścisnąć? Tym lepiej! – Carrie zwróciła się w stronę Ripa i rozpostarła szeroko ramiona. – Cześć, przystojniaku. Od czego chciałbyś zacząć?

– Bo ja wiem... – Rip udał głębokie zastanowienie. Miał nadzieję, że przy jego smagłej skórze nikt nie zauważy, jak się zarumienił, zwłaszcza w tym oświetleniu. – Przyznam, że jestem trochę oszołomiony pani pochwałami.

– No i bardzo dobrze, serdeńko, to mi się podoba! – Carrie objęła go, nie zwlekając dłużej.

Po tym zwariowanym powitaniu Rip wyraźnie się rozruszał. Odtąd rozmawiał ze wszystkimi z tak niewymuszoną swobodą, że Anna była wręcz z niego dumna. Uśmiechał się, żartował, podchodził do swoich dawnych kolegów, żeby zapytać, co teraz porabiają, formułował ostrożne komentarze, wymieniał uwagi na temat domu i posiadłości. Jeżeli to jemu ktoś zadawał pytanie, odpowiadał z całą bezpośredniością, bez cienia arogancji.

Obserwując go, można było pomyśleć, że urodził się i całe swe życie spędził w Blest – tak bardzo pasował do tego miejsca i tak dobrze zdawał się je znać.

Anna doskonale wiedziała, skąd u niego ta znajomość szczegółów. Mimo że przy każdej okazji zasypywała Ripa faktami z historii Blest, to nie jej, lecz Papie Vidalowi zawdzięczał

swą wiedzę. Dopiero długie godziny spędzone na dyskusjach ze starym człowiekiem, który całym sercem był przywiązany do tego domu, wzbudziły w Ripie autentyczne zainteresowanie.

Tym razem nie poprosił, by poradziła mu, w co się ubrać. Sam zdecydował się na nowiuteńki szary garnitur, kremową koszulę i jedwabny krawat w delikatny, szaro-brązowo-kremowy wzorek. Gdy poruszał ręką, na mankietach koszuli połyskiwały gładkie, złote spinki w formie kulek. Całości dopełniały czarne, sznurowane buty z miękkiej skóry. Tuż przed rozpoczęciem przyjęcia zapytał tylko o to, czy ma dobrze zawiązany krawat, o nic więcej. Każdy mężczyzna ubrany w taki sposób wyglądałby jak typowy bankier – gładki, wymuskany i, niestety, nieciekawym. Każdy, ale nie on. Prosty, stonowany ubiór podkreślał urodę jego ciemnych włosów i Miedziano-brązowej skóry.

Poza tym Rip poruszał się z taką swobodą, że wręcz promieniował wewnętrznym spokojem i pewnością siebie. Anna pomyślała, że bez żadnej przesady można go uznać za najprzystojniejszego osobnika płci męskiej w promieniu stu kilometrów albo i więcej. Nieoczekiwanie poczuła się dumna z tego, że stoi przy nim w swej sukni z różowego szyfonu i antycznej biżuterii z granatów, że nachyla się w jego stronę i szepcze dyskretnie kilka słów komentarza albo ujmuje za ramię, żeby przyciągnąć jego uwagę, bo oto nadszedł ktoś, kogo trzeba przedstawić. Była świadoma faktu, że wszyscy obecni snują najróżniejsze domysły na temat ich obojga, ale widziała też zawistne spojrzenia, jakimi obdarzały ją kobiety. Zdawało się, że to właśnie przeszłość Ripa niespodziewanie czyni go atrakcyjnym towarzyszem, tak jakby był nawróconym piratem, który nagle robi furorę w eleganckich salonach.

Przy drugim boku Ripa stał Papa Vidal, który na tę okazję przywdział swój niedzielny garnitur, oczywiście niepodobny do zwykłych garniturów, naznaczony za to piętnem

indywidualnego stylu właściciela. Po to, żeby Papa Vidal zgodził się witać gości przybywających do Blest, trzeba było stoczyć z nim prawdziwą walkę. To Annie ostatecznie udało się go przekonać dzięki zręcznej uwadze, że taki gest byłby wyrazem poparcia dla Ripa. Tak naprawdę to jednak właśnie Rip wpadł na pomysł, by stary sługa, a zarazem artysta, wziął udział w uroczystości. Stwierdził, że jednym z głównych powodów, dla których ma zamiar przeprowadzić remont, jest ratowanie fresków Papy Vidala, coś więc bardziej naturalnego niż zaproszenie ich autora w roli gwiazdy wieczoru.

Posunięcie okazało się niezwykle pożyteczne. Nie wiedzieć skąd Papa Vidal znał nazwiska i twarze wszystkich, którzy cokolwiek znaczyli w okolicy, i kiedy tylko Annie trudno było zorientować się, kto jest kim, on natychmiast przychodził jej z pomocą. Co więcej, gdy pojawili się dziennikarze z lokalnej gazety, ich uwaga skupiła się właśnie na starym malarzu.

Kto sprowadził ekipę telewizyjną, o tym Anna nie miała pojęcia. Najwyraźniej przybyła tu z zamiarem zrobienia reportażu o ludzkich losach – wiecznie aktualny temat powrotu marnotrawnego syna idealnie się do tego nadawał. Na Ripie obecność reporterów nie zrobiła jednak większego wrażenia i od razu skierował ich uwagę na osobę Papy Vidala.

Staruszek odegrał swą rolę jak profesjonalista – nie patrzył w obiektyw, nie wdzięczył się do kamery, za to z całą naturalnością rozmawiał ze znajomymi i sąsiadami, którzy podchodzili do niego, rozdawał uśmiechy i potakiwał głową. Było w nim coś z nieśmiałego artysty i coś ze sprytnego showmana, zdawał się doskonale czuć pod ostrzałem mediów.

W pewnym momencie Anna zauważyła kątem oka coś białego, co poruszyło się z boku. To nieodłączna Henerietta, zaciekawiona niezwykłym gwarem, wysunęła na chwilę łepkę z kieszeni niedzielnego garnituru Papy Vidala. Anna nieznacznie ścisnęła Ripa za ramię i ruchem głowy pokazała mu komiczne zjawisko. Rip popatrzył, po czym uśmiechnął się do

niej i mrugnął porozumiewawczo. Myśl o tym, że oto połączył ich wspólny sekret, może zabawny i niewiele znaczący, ale taki, o którym ludzie wokół nie mają pojęcia, wypełniła Annę przyjemnym ciepłem. Rip musiał odczuć coś podobnego, bo jego spojrzenie nabrało jakiejś niezwykłej intensywności. Ponieważ Anna ciągle trzymała go za ramię, poczuła, że niespodziewanie naprężył mięśnie. Wzięła głęboki oddech, jakby nagle zabrakło jej powietrza.

W tym momencie wszedł nowy gość i ujął jej wolną rękę. Niechętnie zwróciła się ku przybyłemu, by go przywitać. Czar prysł i nie było już śladu po tym, co zdarzyło się przed chwilą.

Niewiele później Anna spojrzała w stronę głównych drzwi, otwartych szeroko na oścież. Po schodach od frontu zbliżała się jej matka. Miała suknię z czarnej koronki i wojowniczy wyraz twarzy. Tuż za nią podążał sędzia Benson.

Anna znów poczuła, że Rip sztywnieje. Obróciła się lekko ku niemu i na znak solidarności wsunęła mu rękę pod ramię. Poczekwała, aż matka dojdzie do nich, a w tym czekaniu był fatalizm generała, który przed bitwą przygląda się, jak nieprzyjacielska armia zajmuje pozycje na polu bitwy. Może była przewrażliwiona, ale miała wrażenie, że gwar głosów w salonie znacznie się uciszył, a jego miejsce zajął pełen ciekawości szmerek.

Matylda Montrose przekroczyła próg, omiotła spojrzeniem tłum gości, kandelabry promieniujące ciepłym blaskiem świec i kamerę, która filmowała właśnie fresk Papy Vidala. Jej wzrok zatrzymał się na Ripie, który stał blisko wejścia, wyprężony i pewny siebie niczym pełnoprawny gospodarz Blest. Po kilku sekundach przeniosła uwagę na córkę. Z pewnym ociąganiem ruszyła w jej stronę.

– Gratuluję – powiedziała głosem pozbawionym co prawda wrogości, ale też dalekim od entuzjazmu. – Zdaje się, że możesz być zadowolona ze swojego przyjęcia.

Te słowa były już bohaterstwem z jej strony, nawet jeżeli mogła wyrecytować swoją kwestię trochę lepiej. Anna poczuła nagłe współczucie, bo zdała sobie sprawę, jak wielkiego wysiłku wymagały one od matki. Nie była pewna, co tak naprawdę stanowiło motyw jej przyścia – czy była ciekawa zmian, jakie zaszły w Blest, czy raczej obawiała się, że ominie ją przyjęcie, które przypadkiem mogło stać się towarzyskim wydarzeniem sezonu. Może chciała przekonać się na własne oczy, czy ludzie rzeczywiście skorzystali z zaproszenia, a może po prostu zapragnęła okazać córce poparcie. Nieważne. Przyszła i to się liczyło.

– Dziękuję ci bardzo – powiedziała zwyczajnie Anna i nachyliła się ku niej.

Ucałowały się bez przesadnej wylewności. Gdy Matylda uwolniła się od uścisku, krótki skurcz przebiegł jej twarz. Zwróciła się teraz w stronę Ripa i wydawało się, że zaraz powie coś nieprzyjemnego, może nawet odegra scenę taką jak przy ich poprzednim spotkaniu, w restauracji. Nic takiego jednak nie nastąpiło, być może dzięki towarzyszącemu jej sędziemu Bensonowi, który ponaglał ją, by się przesunęła i zrobiła miejsce osobom, które przyszły po nich i też chciały się przywitać. Skończyło się na tym, że Matylda wyciągnęła do Ripa rękę i musnęła jego dłoń czubkami palców. Wobec Papy Vidala zdobyła się na neutralny w wyrazie uśmiech, po czym odeszła na bok.

A więc sprawa załatwiona. Lepiej lub gorzej, ale załatwiona. Anna z ulgą nabrała powietrza, bo od dłuższej chwili prawie całkowicie wstrzymywała oddech. Rip zrobił to samo. Na moment przykrył jej rękę swoją, ale zaraz ją cofnął.

Gości prawie już nie przybywało, więc Rip, Anna oraz bohater wieczoru, Papa Vidal, mogli wreszcie opuścić swe stanowisko w pobliżu wejścia. Dopiero teraz przyjęcie nabrało rumieńców.

Było ciepło i wszyscy z przyjemnością chłodzili się szampanem, błyskawicznie opróżniając kolejne butelki. Nie mniejszym powodzeniem cieszyły się połówki ziemniaków

przybrane kapką gęstej śmietany i kawioru, ostrygi zapiekane z bekonem, paluszki z kraba, szaszłyki z kurczaka na miodzie oraz kilka innych przysmaków, które dostarczyła jedna z restauracji wyspecjalizowanych w organizowaniu bufetów.

Grupki osób zbierały się teraz koło fresku w salonie, a także zaglądały do innych pokoi w poszukiwaniu pozostałych dzieł. Ludzie kiwali głowami, wydawali okrzyki zachwytu i niezależnie od tego, czy znali się na malarstwie, czy nie, wypowiadali komentarze na temat perspektywy i cieniowania barw. Dziennikarze poprosili Papę Vidala, by pozwolił się sfilmować na tle swoich prac i udzielił krótkiego wywiadu, co znowu uczynił z taką swobodą, jakby przez całe życie nie robił nic innego.

W chwilę potem Rip stanął na pierwszym stopniu schodów, by wygłosić z tego niewielkiego podwyższenia krótką mowę powitalną. Trzymając jedną rękę w kieszeni, w drugiej zaś ściskając kieliszek szampana, przedstawił w paru słowach swoje plany dotyczące renowacji Blest. Wspomniął o korzyściach, jakich jego zdaniem plany te mogą przysporzyć całemu miastu, a także lokalnym przedsiębiorcom. Oddał hołd Papie Vidalowi i jego twórczości wzbogacającej dorobek artystyczny całego regionu, natomiast do Anny skierował szczególne podziękowanie za słowa zachęty, cenne rady oraz nieustającą pomoc w dziele przywracania Blest do dawnej świetności. Na zakończenie wznosił uroczysty, lecz pozbawiony patosu toast za miasto Montrose i jego przyszłość.

Anna nie potrafiła ukryć entuzjazmu i była osobą, która oklaskiwała go chyba najgłośniej spośród wszystkich zebranych. Tylko ona знаła cenę tych kilku gładkich zdań. Wiedziała, jak ważny jest dla Ripa fakt, że aprobują go ludzie, którzy w przeszłości potępili go z kretesem. Kiedy zszedł ze stopnia i zbliżył się do niej, miała dla niego uśmiech pełen wzruszenia.

– O Boże, całe szczęście, że mam już to za sobą – szepnął z poczuciem bezmiernej ulgi.

Podniósł do ust swój kieliszek i jednym haustem wypił co najmniej połowę zawartości.

– Byłeś fantastyczny – w jej głosie pobrzmiwało szczerze uznanie. – Myślę, że zrobiłeś na nich spore wrażenie.

– To dom zrobił na nich wrażenie. Dom, szampan, a może nawet i pieniądze – powiedział z wyraźną drwiną. – To z powodu tych trzech rzeczy są skłonni mnie tolerować.

– Radziłabym ci, żebyś cenił bardziej zarówno siebie, jak i ludzi w tym mieście. – Anna spojrzała mu prosto w oczy. – Oni wiedzą, skąd wyszedłeś, są więc też w stanie zrozumieć, czego dokonałeś i jakie trudności potrafiłeś przezwyciężyć. Byłeś bardzo młody, kiedy wydarzyły się wszystkie te okropne rzeczy, poza tym to było dawno temu. Owszem, być może jest w Montrose kilka osób, które nie potrafią zapomnieć o przeszłości, ale większość docenia twoją determinację i życzy ci jak najlepiej.

Dopiero wypowiedziawszy te słowa, Anna zdała sobie sprawę, że naprawdę w nie wierzy.

W pewnej części wynikały one z jej najgłębszego przekonania, ale wiele z nich przyszło jej do głowy przed chwilą, gdy obserwowała ludzi zebranych w salonie i ich reakcje.

– Posłuchaj, Anno – powiedział Rip, jakby miał oznajmić jej jakąś niezwykle pilną wiadomość – jeśli chodzi o naszą umowę, to...

– Nie teraz – przerwała mu bez zbytniego przekonania, tak jakby w rzeczywistości miała ochotę porozmawiać na ten temat. Ruchem głowy wskazała reporterkę telewizyjną, która podeszła do nich od tyłu i w ślad za którą nadciągnął kamerzysta.

– Panie Peterson – zaczęła energicznie dziennikarka.

Widać było, że jest bardzo podekscytowana, choć usiłowała ukryć swe podniecenie pod zawodowym uśmiechem. – Pańska historia jest tak niesamowita, od skazańca do właściciela plantacji, że chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej. Czy zgodziłby się pan powtórzyć swoje uwagi przed kamerą? Może odpowiedziałby pan też na parę krótkich pytań?

Anna wyczuła, że Rip się zdenerwował. Zaraz jednak się odprężył, jakby ktoś szepnął mu

do ucha uspokajające zakłęcie.

– Później, dobrze? – powiedział i spojrzał chłodno na dziennikarkę.

– Później – powtórzyła jak echo kobieta. Uśmiechała się nadal, ale jakoś mniej sympatycznie. – Dobrze. W takim razie do zobaczenia.

Anna zaniepokoiła się o Ripa. Nie wiedziała, co powie przed kamerą i jak jego słowa zostaną zinterpretowane, ale też nie mogła nic zrobić w tej sprawie.

– Nie denerwuj się – odezwał się ciepłym barytonem ktoś stojący za jej plecami. – Całe to towarzystwo będzie jadło mu z ręki, łącznie z tą kobietą z mikrofonem.

Odwróciła się szybko. To sędzia Benson uspokajał ją w ten sposób.

– Oby tak było – westchnęła.

– Zobaczysz, że tak będzie. – Sędzia pokiwał głową. – Ten chłopak ma charakter i styl.

Uroku też mu nie brakuje, a w dodatku potrafi się nim posługiwać.

O tak, pomyślała, Rip na pewno nie jest pozbawiony uroku. Czyż sama mu nie uległa?

Mruknęła coś niezrozumiałego, co miało oznaczać, że się zgadza z rozmówcą. Sędzia zaczął nagle pilnie obserwować bąbelki szampana w swoim kieliszku i dopiero po chwili się odezwał:

– Matylda martwiła się, że niepotrzebnie zadzwoniła do szefa stacji telewizyjnej, by go zawiadomić o tej twojej imprezie. Ja od razu jej mówiłem, że nie ma się czym zadręczać, bo wszystko pójdzie jak najlepiej. Myślę, że w tej chwili sama to widzi.

Przez chwilę patrzyli na siebie, doskonale się rozumiejąc.

– Tak, chyba tak – odezwała się w końcu Anna.

– Ten chłopak daleko zajdzie, zapamiętaj moje słowa – powiedział jeszcze sędzia, po czym włożył dłoń do kieszeni, z której po chwili wyciągnął niewielką, sztywną kopertę. –

Mam tu pewien drobiazg, który powinien mu w tym pomóc. To naprawdę nic wielkiego, ale

myślę, że on go doceni. Daj mu to i przekaz, żeby się ze mną skontaktował, kiedy będzie miał wolną chwilę.

– Dobrze – powiedziała z powagą, patrząc na kopertę.

– Oczywiście.

Sędzia poklepał ją po ręce i zostawił samą. Pozwoliła mu odejść bez słowa. Nie musiała zaglądać do środka, żeby wiedzieć, czym jest ów „drobiazg”. To był jej ratunek, wolność, swoboda.

Rip otrzymał zaproszenie do klubu Bon Vivant.

– Niech pani Anna mu tego nie daje. Nie trzeba.

Papa Vidal wypowiedział swoją radę spokojnie, ale z naciskiem. Był ranek, następnego dnia po przyjęciu. Pokusa uwolnienia się od koperty towarzyszyła Annie już od chwili, w której dostała ją do ręki, ale jakoś nie przekazała jej Ripowi. Najpierw postanowiła poczekać na odpowiedni moment, więc schowała zaproszenie do torebki. Odpowiedni moment jednak nie nadszedł, toteż chcąc nie chcąc zabrała zaproszenie do domu, mówiąc sobie, że z samego rana wróci do Blest i odda je Ripowi, spokojnie, bez tłumy ludzi dookoła. Na drodze prowadzącej do willi natknęła się jednak na Papę Vidala.

– Ale przecież on się dowie – zaoponowała niepewnie.

– Ktoś mu powie, jak nie sędzia Benson, to choćby moja mama, skoro to ona wszystko załatwiła. Co wtedy?

– Wtedy to już będzie za późno – oświadczył rezolutnie Papa Vidal.

– Okaze się, że go oszukałam. To nie będzie w porządku.

– Będzie, będzie. Pierwszy raz od bardzo dawna wszystko będzie w porządku, tak jak się należy.

Czy to smutek, czy skrucha pojawiły się w wyblakłych oczach starca? A może to dziwne

spojrzenie mówiło tylko tyle, że na świecie niewiele spraw układa się tak, jak należy?

Anna przechyliła głowę na bok i zapytała:

– Dlaczego tak mówisz? Co niby jest nie w porządku?

– Dużo rzeczy – powiedział, patrząc przed siebie z miną sfinksa. – Życie jest czasem okropnie poplątane, tyle że niektóre węzły można rozplatać, a inne nie. Ten akurat można.

Bardzo mi to leży na sercu, pani Anno. Inaczej ja, stary, nie zaznam spokoju. Wszystko w pani rękach. Pani wie, jak to zrobić.

Zaawansowany wiek i pewna skłonność do dramatyzmu – oto co spowodowało nalegania Papy Vidala. Staruszek mówił o komplikacjach życiowych, ale tak naprawdę naiwnie upraszczał pewne sprawy.

Uśmiechnęła się z zadumą.

– Rip by mnie zniechęcił za coś takiego.

– Tak się pani wydaje? Pani Anna chyba nie zna pana Ripa. Ja myślę, że mógłby być bardzo zadowolony. Może on ma nadzieję, że żadne zaproszenie nie przyjdzie?

Też jej to kilka razy przyszło do głowy. Gdyby zataiła przed Ripem fakt, że został zaproszony do klubu Bon Vivant, zażądałby od niej, by wywiązała się z danego słowa. W ten sposób sama wpakowałaby się w małżeństwo.

Może tak byłoby prościej? Rip dostałby to, czego zawsze chciał, ona zaś... No cóż, niewykluczone, że to jest właśnie to, czego zawsze jej było potrzeba.

– Sama już nie wiem. Zamąciłeś mi w głowie, Papo. Staruszek westchnął, poskrobał się po głowie, po czym wsunął rękę do kieszeni, żeby pogłaskać Heneriettę.

– Pani Anna zrobi, co będzie uważała. Ale najpierw... Najpierw to ja chcę coś pani pokazać.

Zrobił w tył zwrot i poczłapał w stronę budynków położonych na obrzeżach posiadłości.

Anna patrzyła na jego oddalającą się sylwetkę. Co też wymyślił tym razem? Jedyнным sposobem, by się tego dowiedzieć, było pójść za nim.

Spojrzała w stronę wozu campingowego, który ciągle stał na trawniku koło domu. Nie zauważyła w nim żadnych oznak życia. Najwyraźniej Rip odsypiał wczorajsze przyjęcie. Nie musiał się martwić, że zbudzą go robotnicy z ekipy remontującej Blest, bo przecież była niedziela.

Z ociąganiem ruszyła w tę samą stronę co Papa Vidal. Po chwili zobaczyła go z daleka, jak zbliżał się do budynku dawnej szkoły. Kiedy tam doszła, Papa Vidal wchodził już do środka.

Szkoła miała tylko jedną sporą salę, w której prowadzono kiedyś lekcje. Oprócz tego budynek mieścił dwie szatnie, składzik oraz dwupokojowe mieszkanie dla nauczyciela. Teraz trwał tu remont – pod ścianą leżały narzędzia malarskie, na podłodze z dębowych desek chrzęścił gips, stare ławki uczniowskie zostały zsunięte do kąta. Papa Vidal nie zwrócił na to wszystko najmniejszej uwagi – podreptał prosto do tablicy umieszczonej w głębi sali.

Stara, pochodząca z początku wieku tablica, była zrobiona z naturalnego łupka. Kończyła się nisko nad podłogą, tak żeby nawet najmłodsze dzieci mogły na niej pisać bez trudu. Teraz Papa Vidal postanowił wykorzystać jej gładką powierzchnię do namalowania swojego fresku. Zgodnie z tym, co powiedział Annie wcześniej, za temat obrał stary rodzinny cmentarz.

Przedstawił go w promieniach zachodzącego słońca, co podkreśliło spokojny, romantyczny prawie charakter tego miejsca. Między poprzewracanymi nagrobkami pieniało się zielsko i soczyście zielona trawa, kępy mchu pokrywały kamienie. Metalowe ogrodzenie chyliło się ku ziemi, zupełnie tak jak w rzeczywistości, nad całością zaś dumnie górował stary cedr.

Obraz wypełniało kilka postaci: matka karmiąca noworodka (była to praprababka Anny, która osierociła małe dziecko), stare małżeństwo na przechadzce (jakaś dziewiętnastowieczna

ciotka z mężem), dwoje dzieci, w których Anna rozpoznała bliźnięta zmarłe na dyzenterię w 1890 roku. Wszystkie te osoby zdawały się żywe i jednocześnie odległe, tak jakby Papa Vidal zdołał uchwycić najgłębszą naturę tego, czym jest wieczny spoczynek.

Malowidło miało jednak w sobie również coś niepokojącego. Anna przyjrzała się mu uważniej i dopiero wtedy uświadomiła sobie, co ją tak niepokoi.

Otóż na zewnątrz ogrodzenia stał Rip, który uchwycił się go rękami. Jego twarz była niewyraźna, jeszcze nie skończona, ale widać było, że patrzy w najodleglejszy kraniec cmentarza, tam gdzie rysowała się jakaś mglista sylwetka, jakby duch oparty o marmurową tablicę, oraz półprzezroczysty biały jelen u jego boku.

To był Tom.

Ten duch to był Tom i on z kolei patrzył na Ripa, z przyjaźnią i wdzięcznością. Był w nim jakiś żal, smutek spowodowany tym, że jego przyjaciel nie ma wstępu do tego miejsca wolnego od trosk i niepokojów. Na tablicy, o którą opierał się Tom, było jego imię i data, namalowane w taki sposób, jakby wyryto je w marmurze.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Anna podeszła bliżej tablicy, tak blisko, że swymi drżącymi palcami mogła dotknąć feralnej daty. To był tamten dzień sprzed szesnastu lat, gdy Rip włamał się na stację benzynową, a jej brat zaginął bez wieści. Kiedy odjęła rękę, miała wilgotne palce. Najwyraźniej ten fragment malowidła został ukończony przez Papę Vidala dopiero dzisiaj rano.

Poczuła nagle niewypowiedziany ból w głowie i zaraz potem w sercu. Z całej siły zamknęła oczy, broniąc się przed łzami. Zacisnęła pięści.

Starzec podszedł do niej powoli i drżącą ręką dotknął jej ramienia. Wiedziała, że chce ją pocieszyć, ale nie było na świecie niczego, co mogłoby zmniejszyć jej udrękę.

– A więc on umarł – wyszeptała, otwierając oczy. – Nie żyje od szesnastu lat i to Rip go

zabił.

Po tych słowach za jej plecami rozległ się jakiś dźwięk, świst powietrza, przeciąg albo westchnienie. Odwróciła się, chociaż wiedziała, kogo zobaczy.

W drzwiach stał Rip. Miał zmierzwione włosy, jakby uczesał się palcami, nie grzebieniem. Musiał ubierać się w wielkim pośpiechu, bo był tylko w dzinsach i tenisówkach, bez koszuli i skarpetek. Twarz mu nagle zszarzała, wyglądał przeraźliwie.

Usłyszał, co powiedziała, to było oczywiste. Wystarczyło spojrzeć w jego oczy. Wiedział, że Anna uważa go za zdolnego do popełnienia morderstwa, ale nie poruszył się ani nie powiedział jednego słowa na swoją obronę. Po prostu stał i patrzył. Zdawało się, że uczy się jej na pamięć, stara się wszystko zapamiętać: promienie słońca, które wpadały przez okno i rozświetlały jej włosy, każdy szczegół jej twarzy, malujące się na niej uczucia. Uważnie wsłuchiwał się w każdy jej oddech.

– Nie, proszę pani – głos Papy Vidala zabrzmiał stanowczo, mimo drżenia. – Pan Rip go nie tknął. Pan Tom sam się zastrzelił, ze wstydu, że ukradł pieniądze. Zastrzelił się na tym cmentarzu, w Blest, gdzie spędził swoje szczęśliwe lata. Zostawił list do pana Ripa i do mnie. Prosił, żebyśmy go pochowali i żeby nikt się nie dowiedział, jak i dlaczego zginął. Napisał: „odnieście pieniądze z powrotem”, bo tak naprawdę on nie chciał ich zabierać. I bardzo mu zależało, żeby nikomu nie pisać ani słowa. Myśmy to zrobili, bośmy go kochali i nie chcieliśmy sprowadzać na niego hańby po śmierci. Ale cena była wysoka. Bardzo wysoka. Upłynęło kilka sekund, zanim sens tych słów dotarł wreszcie do Anny. Spojrzała na pooraną zmarszczkami twarz starca – płakał, a łzy spływały po bruzdach jego policzków jak woda, która po deszczu wypełnia wyschnięte koryto strumienia.

– Och, Papo – jęknęła i sama zaczęła płakać. Otoczyła go ramionami i przytuliła do siebie.

– Ale to nie ja najbardziej ucierpiałem – powiedział, poklepując ją po plecach, by w ten niezręczny sposób choć trochę ją pocieszyć. – Pan Rip najbardziej się namęczył. Złapali go, kiedy poszedł na stację oddać pieniądze. Nigdy nie puścił pary. Ja na jego miejscu wyznałbym prawdę, ale on – nie. No to zrobiłem, co mogłem, żeby polepszyć jego sytuację. Powiedziałem w sądzie, że widziałem pana Toma w samochodzie, chociaż go nie widziałem, powiedziałem, że pan Rip to dobry chłopak, że zrobił głupstwo i chciał je naprawić. Zrobiła krok do tyłu i uważnie mu się przyjrzała. Na Ripa nie miała siły spojrzeć.

– Ale przecież on nie musiał poświęcać się aż tak bardzo i iść do więzienia – powiedziała tonem ni to pytania, ni to stwierdzenia. – Przecież był list od Toma, prawda? Mógł go pokazać sędziemu.

– List był, a jakże – potwierdził stary, boleśnie, ale i pogardliwie. – Zaniósłem go matce pana Toma i powiedziałem jej prawdę. Wtedy ona wzięła list, podarła, a mnie nazwała kłamcą i starym wariatem.

Matka... A więc matka знаła prawdę, tylko nie chciała w nią wierzyć. Woląca wmawiać ludziom i sobie samej, że jej syn zniknął w tajemniczych okolicznościach, niż zmierzyć się z rzeczywistością. Nie potrafiła przyznać, że Tom był niedoskonały, słaby i wolał umrzeć, niż stanąć przed rodzicami, a potem znieść publiczne upokorzenie.

To jednak nie wszystko. Matylda Montrose dokonała wyboru – wysłała do więzienia niewinnego chłopca, byle tylko nie skalać nazwiska swojego ukochanego dziecka, i oczywiście całej rodziny.

Anna westchnęła ciężko, przybita nowo nabytą wiedzą. Pomyślała, że już dawno sama powinna była do tego dojść. Znała przecież Ripa, wiedziała, jak traktuje ją i Toma. Znała jego lojalność i potrzebę nieustannego dostarczania dowodów tejże lojalności. Rip zawsze zachowywał się szlachetnie, a przyjaźń i honor stawiał wyżej niż samego siebie. I ona, i

wszyscy powinni byli domyślić się, na co go stać. A stać go było na rzecz, której nigdy nie powinien był zrobić.

Jako dziecko lepiej potrafiła go sądzić. Wtedy umiała wyczuć w nim wewnętrzne ciepło, bogactwo ducha, ofiarność, chęć dzielenia się z innymi. Inni nie zauważali tych zalet, bo był biednie ubrany i miał ręce brudne od ciężkiej pracy, ale ona tak. To one przyciągały ją do niego.

Teraz nie chciała patrzeć na Ripa. Nie mogłaby znieść wyrazu potępienia na jego twarzy.

Wcale nie była lepsza od matki – przecież wierzyła przez moment, że zabił Toma.

Zdradziła go. Zdradziła samą siebie, zamknęła się na głosy płynące z własnego serca i umysłu. Nie chciała rozumieć, że go kochała przed laty i kocha nadal. Co więcej, zdradziła Toma, bo on na pewno nie chciał, żeby Rip wziął na siebie całe odium.

Musi wyznać mu winę, powiedzieć, jak strasznie jej przykro, że w niego zwątpiła, jak go żałuje za to, że tyle wycierpiał. Półprzytomna z cierpienia, zdobyła się wreszcie na to, by zwrócić się w jego stronę...

Ripa jednak już nie było. Drzwi nadal były otwarte, lecz tylko promienie słońca oświetlały miejsce, w którym stał parę chwil temu.

– Niech pani idzie go poszukać – powiedział Papa Vidal i schylił się po pędzel, który leżał na brzegu wiaderka. – Ja muszę skończyć mój obraz.

Nie potrzeba jej było dłużej zachęcać. Wyszła natychmiast ze starej szkoły i ruszyła w kierunku Blest. Gdy była pod domem, stanęła i spojrzała w stronę starego cmentarza. Coś się poruszyło pod starym dębem. Spokojnym, równym krokiem poszła w tamtą stronę.

Rip siedział na ziemi. Plecami opierał się o drzewo, łokcie oparł na podciągniętych kolanach. Stanęła naprzeciwko, patrząc na jego ściągniętą twarz i zeszywniałe ramiona. Po chwili uklękła obok. Zaczęła szukać w myślach właściwych zdań, ale te nie chciały się

ułożyć. Wszystkie słowa brzmiały zbyt banalnie, zbyt słabo.

Tym razem nie miała przy sobie czekoladowego batonika, którym mogłaby go pocieszyć.

Miała tylko siebie.

– Jest mi przykro – wyszeptała po prostu.

ROZDZIAŁ 10

Przez kilka nieskończenie długich sekund Rip przyglądał się ustom Anny. Gdy odważył się spojrzeć w jej oczy, nie znalazł tam oskarżenia, a tylko smutek i pokorę, której nigdy nie spodziewał się u niej zobaczyć i która niespecjalnie mu się spodobała. Papa Vidal wszystko jej powiedział. Cóż, tajemnica już od dawna ciążyła staruszkowi.

– Mnie też jest przykro – westchnął.

– Nie miej żalu do Papy. Musiałam poznać prawdę...

– Przymknęła na moment powieki. – W głębi duszy podejrzewałam, że stało się właśnie tak, jak się stało. To było podobne... do was obu.

– Tyle że to wszystko nie wskrzesi Toma.

– Nie. – Teraz ona westchnęła. Poprawiła ręką włosy, poruszone wiatrem, który właśnie się podniósł. – Jego nic nie wskrzesi.

Rip odwrócił wzrok i spojrzał prosto przed siebie.

– To były narkotyki – odezwał się po chwili milczenia.

– Mówił, że lubi fruwać, wydawało mu się, że ma nad wszystkim kontrolę. Próbowałem...

– urwał nagle.

– Czy King Beecroft miał z tym jakiś związek?

– Nigdy nie usłyszałem czegoś takiego od Toma. Może miał, a może nie. W każdym razie to Tom, a nie kto inny wiedział, że mój szef ze stacji benzynowej trzyma pieniądze w starym sejfie. Sam mu to kiedyś powiedziałem, kiedy wyśmiewałem się ze starego, że nie dowierza

bankom. Ale do głowy by mi nie przyszło, że Tom...

– ... przyjdzie w nocy i rozwali łomem zamek w sejfie twojego szefa?

– Nie zrobiłby tego, gdybym go nie skusił tym swoim gadaniem. To była moja wina.

– To nie była twoja wina, tylko własny wybór Toma. Kiedy narkotykowy trans minął, zrozumiał, co zrobił, i nie mógł znieść tej myśli. No cóż, rozumiem. Przynajmniej jestem zadowolona, że wiem, jak było naprawdę.

– Nawet jeżeli prawda jest taka, jaka jest? – zapytał sceptycznie.

– Tak. Zastanawianie się i cała ta niepewność były znacznie gorsze.

– Wątpię, żeby twoja matka myślała tak samo.

– Moja matka ma na sumieniu straszny ciężar – powiedziała spokojnie Anna. – Ja nic nie wiedziałam o liście Toma. Przysięgam, że nigdy nie pisnęła mi ani słowa.

– Po jakimś czasie domyśliłem się tego.

– Teraz dopiero rozumiem, dlaczego była taka nerwowa, kiedy wspominałam jej o tobie.

Ciągle napięta, wyczekująca... Przez cały czas musiała się obawiać, że powiesz komuś, co zrobiła z tym listem. Na pewno jej ulży, gdy się dowie, że nie masz zamiaru tego robić.

– A skąd niby wiesz, że nie mam zamiaru? Podniosła na niego spojrzenie tak szczere, jakby odsłaniała przed nim swoją duszę.

– Bo wiem – powiedziała cicho. – Znam cię.

W tym momencie wiedział, że przepadł. Spojrzał na nią czule, choć jeszcze starał się zwalczyć owo pragnienie obecne w nim od tylu lat. Anna miała oczy lśniące od łez. Wiejący z naprzeciwka wiatr trzepotał jej jedwabną bluzką w taki sposób, że ciasno opinała jej kształty. Jej nogi, których delikatną opaleniznę podkreślała biała spódnica, były takie zgrabne, takie długie, jakby stworzone do tego, by opleść się wokół niego i...

Pomyślał szybko, że moment taki jak ten może się już nigdy nie powtórzyć, po czym

przyciągnął ją do siebie zdecydowanym ruchem. Chodziło mu jedynie o to – tak przynajmniej sobie mówił – by ją pocieszyć, a także dać odczuć, że ktoś dzieli jej cierpienie i tak jak ona płacze nad straconą młodością i marzeniami, które się nie ziściły. Zdziwiło go jednak, że tak łatwo dała się przyciągnąć, tak łatwo wtuliła się w niego i pozwoliła dotykać bez najmniejszych oporów.

– Anno... – wydobył z siebie stłumiony jęk.

– Tak... – szepnęła i podała mu usta do pocałunku, on zaś bez wahania przywarł do nich, spragniony najśłodsze go smaku jej warg.

Musiał przynajmniej jeszcze raz, zanim opuści Blest, popróbować pocałunków tej słodkiej, czarującej, oszalamiającej istoty. Zamknął oczy i rozkoszował się tym cudownym doznaniem. Wciągał głęboko w nozdrza zapach Anny – ten sam zapach, który prześladował go od niepamiętnych czasów, który chodził za nim, towarzyszył w beznadziejnie ciągnące się dni.

Otworzyła się na jego przyjęcie jak kwiat rozgrzany promieniami słońca. Przekazywał jej swoją gorączkę, rozedrganie, bezmierną potrzebę bliskości, choć w głębi duszy obawiał się, że ta piękna róża za chwilę przestraszy się i stuli płatki. Nic takiego się nie stało. Anna wyszła mu na spotkanie. Jej język tańczył teraz wokół jego języka.

Wiele lat temu też spotkali się pod tym dębem. Tak jak dzisiaj przyciskał ją do siebie, a słońce rzucało na nich cętki światła poprzez gałęzie. W pewnej chwili Anna, próbując się podnieść, wsparła się dłońmi na jego piersi – po to, by ostatecznie zarzucić mu ramiona na szyję. Wykorzystał ten moment i przejechał ręką po jej żebrach, a potem delikatnie ujął jej pierś. Jęknęła wtedy cicho i jakoś tak niesamowicie słodko, ale on nie posunął się dalej. Czy zrobi to teraz?

Anna pomyślała, że umrze, jeżeli Rip wycofa się w tej chwili. Ciepło jego ciała,

odurzający, gorący oddech, ciężar ręki na nabrzmiałej z podniecenia piersi – wszystko to powodowało, że szumiało jej w głowie i była wręcz pijana z pożądania. Jęknęła tęsknie i boleśnie, jakby chciała go ośmielić i przynaglić, po czym bez reszty oddała się rozkoszy pocałunków. Omiotła językiem kąciki jego warg, wśliznęła się do środka. Chciała głębszego kontaktu, większej bliskości, mocniejszego zwarcia.

Rip najpierw się poddał, gdy zaś cofnęła na chwilę język, on z kolei wsunął się do jej ust. Pragnął tego samego co ona, pożądał tak jak ona.

Już zwinnymi palcami rozpinął guziki jej bluzki. Już czuła na skórze ciepłe promienie słońca, a zaraz potem znacznie gorętszy dotyk dłoni Ripa. Opuścił głowę, przesunął po jej skórze wilgotnym językiem. Kiedy doszedł do piersi, zatrzymał się na moment, po czym złapał wargami różowy koniuszek, a wówczas kolejna fala rozkoszy wstrząsnęła jej ciałem. Chwyliła jego głowę i przycisnęła ją mocniej do siebie. Odchyliła się do tyłu, przez przymknięte powieki widziała słoneczny blask przetykany cieniami liści, drżących na gałęziach górującego nad nimi dębu...

Pozwoliła mu, by wygodniej ułożył na ziemi jej ciało. Teraz ujrzała nad sobą jego odmienioną pożądaniem twarz. Jeszcze raz sięgnął po jej usta, a ona zacisnęła palce na jego ramionach, silnych i doskonale umięśnionych. Potem zaczęła wodzić rękoma po nagich plecach Ripa, jakby chciała zebrać z jego skóry cały żar, całą gorączkę. Gdy poczuła, jak pewną ręką dotyka miejsca u zbiegu jej ud, cały świat zawirował wraz z nią. Znow jęknęła, łapiąc z trudem powietrze, a wtedy on uśmiechnął się do niej najczulszym z uśmiechów. Płonęła, była wilgotna i spragniona. Drżała lekko, gdy rozpinął klamrę paska i rozsuwał zamek dzinsów. Czuła przemożną ochotę, by natychmiast go dotknąć, więc zrobiła to, czerpiąc z tego niemal bolesną przyjemność.

Jego rozkosz poznała po drzeniu, z jakim pochylił się, by zostawić gorące pocałunki na

jej czole, we włosach, na płatkach jej uszu. W końcu trafił z powrotem do jej ust i wdarł się do środka.

Bała się, że nie znieśie więcej pieszczot, że umrze z niespełnienia, nim doczeka się tej najważniejszej. Kiedy więc Rip znalazł wreszcie drogę do jej rozpalonego, wilgotnego wnętrza, przywarła do niego kurczowo, by mógł wejść jeszcze głębiej i by mogła poczuć go jeszcze mocniej. A potem, odprężona już i otwarta, trzymała ufnie dłonie na jego plecach i pozwoliła prowadzić się tam, gdzie od tak dawna znaleźć się chciała. Właśnie z nim. Tylko z nim.

To, co się z nimi działo, mogłaby nazwać wspólnym szaleństwem, jakimś wyłączonym z czasu magicznym seansem. Czowała, jak zagarniają ją i pochłaniają kolejne fale potężnej, niepojętej rozkoszy. Znowu. I jeszcze. I potem jeszcze raz. Kołysali się we wspólnym rytmie, aż wreszcie on wypełnił ją i zanurzył się w niej do końca, ona zaś wyszeptwała jego imię i wygięła się w łuk, przeszyta ostatecznym spełnieniem, tak wielkim, że miała wrażenie, iż oto porwała ich jakaś nieznaną energią i teraz niesie gdzieś daleko, poza ziemską orbitę, w inny wymiar istnienia.

Długo leżeli, łapiąc oddech i próbując wrócić do normalności. Rip podniósł się pierwszy. Usiadł, obciągnął jej spódnicę, znalazł majteczki, które leżały odrzucone z boku, zapiał jej bluzkę na środkowy guzik.

Anna nie miała ochoty wydobywać się ze stanu, w którym wciąż była pogrążona. Było jej obojętne, czy może oddychać, czy nie, czy pada ze zmęczenia, czy nie. W tym, jak Rip się z nią kochał, była jakaś ostateczność, nieodwołalność. Wiedziała, że ta magiczna siła, która przyciąga ich do siebie od lat, jest tak potężna, że przetrwa całe życie, całą wieczność.

I dlatego właśnie tak smutna była świadomość, że ze strony Ripa było to zapewne pożegnanie.

Pożegnanie z Anną Montrose.

Bo czy potrafiłaby znaleźć sposób na to, by go zatrzymać?

Nie otwierając oczu, powiedziała bez namysłu:

– Ożeń się ze mną, proszę.

Rip wyczuł błagalną nutę w jej głosie i od razu sięgnął po pancierz ochronny. Zasuwał gwałtownie zamek w spodniach i mruknął:

– Wystarczy, że już jedno z nas się poświęciło, prawda?

– O jakim ty mówisz poświęceniu? – Uniosła się na łokciu. Natychmiast przeszło jej całe rozanielenie. – Kto się poświęca dla kogo, i w jaki sposób?

– Nie potrzebuję małżeństwa z litości.

– Oczywiście, że nie – odparowała ze spokojną pewnością siebie. – Tyle że jeszcze całkiem niedawno byłeś zdecydowany na małżeństwo kontraktowe.

Usiadła i z godnością hrabiny doprowadziła do porządku swój strój, podczas gdy on obserwował ją w milczeniu.

– Chciałem cię mieć, w taki czy inny sposób – odezwał się wreszcie.

– Rozumiem. Zemściłeś się.

– Nie!

– Jak to nie? Wszystko było w porządku, dopóki w grę nie wchodziły uczucia. Teraz nie możesz znieść myśli, że ten związek łączyłby się z miłością.

Zawahał się, po czym powiedział jasno i dobitnie:

– Ty mnie nie kochasz, Anno. Twoje uczucia są dyktowane przez współczucie i wdzięczność. No i oczywiście przez ten przeklęty honor Montrose'ów. Uważasz, że trzeba mi zrekompensować to, co straciłem. Doskonale. Możesz uznać, że właśnie przed chwilą dostałem swoją rekompensatę.

Łzy napłynęły jej do oczu, ale otarła je szybkim gestem.

– To było znacznie więcej i ty doskonale o tym wiesz.

– Naprawdę? Czyżbym sobie pozwolił na zbyt wiele? Powiedz: czy ośmieliłem się wziąć więcej niż chciałaś mi dać? Jeżeli tak, to nie martw się. Przepiszę Blest na ciebie, będziesz mogła zrobić z tym domem, co ci się podoba. W ten sposób będziemy kwita.

– Przepiszesz Blest? Nie możesz tego zrobić!

– Myślę, że mogę – powiedział ponuro. – Kupiłem tę posiadłość głównie po to, żeby być bliżej ciebie. Może zresztą to rzeczywiście była zemsta z mojej strony, kto wie... Nieważne. Co się stało, to się nie odstanie. Zniknę teraz z twojego życia i...

– Och, Rip, byłeś tak blisko zwycięstwa – przerwała mu w pół słowa i popatrzyła na niego z takim smutkiem, że poczuł w trzewiach dojmujący ból i zarazem pożądanie.

Pokręcił głową, jakby chciał zanegować własną słabość.

– To nie byłoby zwycięstwo. Ci ludzie, telewizja, całe to zamieszanie wczoraj wieczór – to było z twojego powodu. Oni wszyscy mają mnie w nosie i kiedy zniknę im z oczu, nawet tego nie zauważą.

Anna usiadła na piętach i nie patrząc na niego, powiedziała cierpko:

– Bo ty oczywiście doskonale wiesz, co myślą ludzie, prawda?

– Tak sędzę – odparł z największym spokojem, na jaki było go stać. W tej chwili myślał tylko o jednym: żeby wziąć ją na ręce, pobiec do domu i kochać się z nią na twardej podłodze do utraty tchu.

– To jeszcze powiem ci parę słów, tak dla informacji. – Jej oczy rzucały teraz iskry gniewu. – Rzeczywiście byłabym zdolna oddać ci się raz z wdzięczności i ze współczucia, jakkolwiek nie myślałam teraz o tym i nie dlatego to zrobiłam. Jeśli zaś chodzi o małżeństwo, to choć zawarliśmy umowę, na pewno nie wiązałabym się z tobą na całe życie z tak

idiotycznego powodu. Bardzo mi przykro, jeżeli uznasz, że jestem przez to mniej szlachetna i honorowa, niż dotąd ci się wydawało. Według mnie przynajmniej nie jestem głupia. Poza miłością nie ma takiej siły na tym świecie, która zmusiłaby mnie do zostania twoją żoną – nie wyłączając twoich pogroźek. A żebyś lepiej zrozumiał, o czym mówię, to coś ci teraz pokażę. Zerwała się na równe nogi i zanurzyła rękę w kieszeni spódnicy. Wyjęła z niej kremową kopertę, dosyć teraz pogniecioną. Rzuciła mu ją na kolana, po czym obróciła się na pięcie i odeszła.

Wystarczyło, że Rip zobaczył swoje nazwisko wykaligrafowane na kopercie, a wiedział już, co zawiera. Mimo wszystko zajrzał do środka.

Przeklęte zaproszenie. Kto by pomyślał...

Ani się tego nie spodziewał, ani tego nie chciał. Podarł kartonik na cztery części, cisnął je jak najdalej i patrzył, jak lądują w trawie.

I właśnie wtedy pojął, co to wszystko znaczy.

Anna wiedziała o zaproszeniu, zanim się kochali, zanim powiedziała mu o swoich uczuciach. Miała więc świadomość tego, że nie jest już związana umową.

Teraz on zerwał się gwałtownie i dopadł ją w paru susach. Chwycił ją za ramiona i obrócił ku sobie.

– Powtórz to jeszcze raz – wysapał.

– Co?

– Żebym się z tobą ożenił. I to o miłości...

– Idź do diabła – powiedziała, kładąc nacisk na każdą sylabę.

– Mówiłaś coś miłości. Twojej miłości do mnie.

– Chyba ci się śniło.

Spróbowała mu się wyrwać, ale jej nie puścił. Jej zaciśnięte usta były teraz wąskie jak

sznureczek. Pomyślał, że jeżeli zacznie ją całować, Anna w końcu je otworzy. Musiał stoczyć ze sobą potężną walkę, by tego nie zrobić.

– Powtórz to – potrząsnął nią lekko – a zobaczysz, co ci odpowiem tym razem.

– Gdybyś był chociaż odrobinę dżentelmenem, nawet do głowy by ci nie przyszło, żeby domagać się od kobiety czegoś podobnego – powiedziała z wyrzutem.

Miała rację. Zachowywał się beznadziejnie. Objął ją, przytulił i westchnął z rezygnacją.

– Teraz mogę nawet błagać cię o litość. Czy mam uklęknąć? – zapytał, wciągając w nozdrza słodki zapach jej włosów.

Mruknęła coś niezrozumiale, ale za to potrząsnęła głową w całkowicie jednoznaczny sposób.

– A może wolisz poczekać, aż kupię kwiaty i bombonierkę?

Odsunęła się odrobinę.

– Niby po co?

– Żeby wszystko odbyło się jak należy – wyjaśnił z poważną miną. – Tyle że sam niewiele zdziałam, musisz mi pomóc. Powinnaś na przykład być trochę zawstydzona, zaczerwienić się i tak dalej... Rozumiesz?

– Rozumiem, ale ten wariant wchodziłby w grę tylko w przypadku, gdybym nie wiedziała, czego chcę. – Spojrzała na niego z chytrą miną i jednak, mimo woli, uśmiechnęła się szeroko.

– A wiesz, czego chcesz?

– Wiem.

– Więc powiedz.

– Zwykłego mężczyzny, nie żadnego dżentelmena. A jeżeli dżentelmena, to takiego bez pretensji.

– Z tym nie będzie problemu.

– I tak, i nie. Zawsze kierowałaś się instynktem i on dobrze cię prowadził, a bycie dżentelmenem to więcej niż ubrania i dobre maniery.

– Anno, ja nie...

– Nie zaprzeczaj, wiem, o czym mówię – znów się uśmiechnęła. – Tak czy inaczej, chcę tego samego co ty.

– Nie jestem taki pewien, bo ja chcę ciebie. Jesteś dla mnie najważniejsza, chcę cię mieć i każdy sposób, który pozwoli mi to osiągnąć, będzie dobry.

– Nigdy mi tego tak po prostu nie powiedziałaś. Dlaczego?

– Ale tak myślałem – odparł trochę niepewnie. – Czy to nie wystarczy?

– Nie – powiedziała, po czym dodała: – jest jedno słowo...

– Wiem – przerwał jej. – Kocham cię, Anno. Proszę, wyjdź za mnie i zamieszkaż ze mną w Blest. Mogę ci obiecać, że jeszcze długo będzie ci się sypał na głowę tynk i będziesz się potykać o puszki z farbą, a kiedy zechcesz wziąć prysznic, do łazienki będą się dobijać eksperci od renowacji zabytków. Ja zresztą też, bo będę chciał być cały czas przy tobie.

Pierwszemu synowi damy na imię To, pierwszej córce Tildy – żeby sprawić przyjemność twojej matce. Może wybaczy mi kiedyś, że żyję, a jej syn umarł, i że taki łachmaniarz jak ja ośmielił się kochać jej córkę do szaleństwa, a nawet się z nią ożenić, bo życie bez niej to w ogóle nie byłoby życie.

Anna wtuliła się w niego z ufnością. Była szczęśliwa.

– No, takie wyznanie mi się podoba – pochwaliła go z tym samym uśmiechem, z którym przyjmowała jego przeprosiny jako piętnastolatka.

– Czyli jaka jest twoja odpowiedź? – Rip nie potrafił ukryć niepokoju.

– Chyba nie musisz pytać – wymruczała. – Przecież to ja oświadczyłam się pierwsza.